№ 32. Warszawa, d. 26 Lipca (7 Sierpnia) 1869 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.— w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Prelekcje Henryka Lewestama.— Na Prowincji powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową.— Szkice z podróży po wyższéj Etyjopji. — Przyczynki do historji literatury powszechnéj. — Pogadanka. — Przegląd muzyczny. — Przegląd literatury zagranicznéj.

PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, professora Szkoły Głównéj.

(Dokończenie)

Te fazy charakteru Frantza, w których poeta chciał nam ukazać lekceważenie węzłów nie tylko już człowieczych, społecznych, ale rodzinnych i boskich, skupiają się w trzech głównych jego stosunkach: względem ojca, kochanki i brata. Pierwszy i ostatni z tych stosunków wypływają z jego niezaspokojonéj ambicyi i chciwości, a więc mają pewne usprawiedliwienie w namiętnościach czysto ludzkich, z któremi Frantz nie umie tylko staczać walki zwycięzkiéj: — to już jest jedno ważne pół światło, padające na cały jego charakter. Drugiém, bardziéj jeszcze znaczącém, jest miłość Frantza dla Amalii,— miłość, którą sam wprawdzie podaje w podejrzenie zwierzęcéj tylko chuci, lecz czyni to, czując się odepchniętym dotkliwie, z pogardą dla niego tém boleśniejszą, ile że ją sam uznać musi za sprawiedliwą. Kto wié? — gdyby mu Amalia była wzajemną? gdyby mniéj chociaż okrutną? gdyby współczuła z żarem, który go trawi? Czyli zbrodniarz ten nie wszedłby w siebie? i czy nie znalazłby w występném nawet uczuciu, zawsze przecież uczuciu, jakiejś siły oczyszczającéj, jakiegoś początku zagłady swych grzechów? Słabą tą nicią potwór Frantz związany jest jeszcze z lepszą ludzką naturą, — tak jest zaprawdę! Frantz Moor jest potworem, ale niemniéj także prawdziwym człowiekiem, — nie wychodzi on z granic zakreślonych w złém i w dobrem słabéj ludzkiéj naturze, i jeszcze przypuszczać możemy, że ta silna i samoistna intelligencya, gdyby skierowana od początku na drogę poczucia prawa bliźniego i własnéj godności, uchroniłaby się może straszliwéj ostateczności.

Frantz, nie mogąc się doczekać śmierci starego Moora, którego usiłuje zamordować orężem cierpień moralnych — bo nie wznosi się do odwagi fizycznego morderstwa — Frantz nareszcie tem się ojca pozbywa, że ogłosiwszy zmarłym pogrążonego w letargu, zamyka go w lasku podziemnym i przeznacza na śmierć głodową. Własny poplecznik zbrodniarza lituje się nad losem nędznego starca i utrzymuje życie jego w więzieniu. Karol tymczasem, ze wznowioném wspomnieniem kochanki, zwiedza w przebraniu zamek ojcowski; poznany przez Amalię i wiernego Daniela, dowiaduje się, jak strasznéj padł zbrodni ofiarą. Rozpacz go ogarnia, ale do niéj przybywa dzikie zemsty pragnienie, kiedy naocznym staje się świadkiem losu, jaki Frantz ich ojcu zgotował. I bandzie swojéj każe napaść na zamek, a brata żywcem sprowadzić do siebie, bo teraz na prawdę będzie sędzią mścicielem.

Piąty akt, akt zemsty, jest kulminacyjnym całéj tragedyi i on właściwie dopiero nadaje Frantzowi stanowisko jéj bohatera. Trapiony widzeniami, snem, przeczuciami, bezbożnik domyśla się, że miara jego zbrodni po sam brzeg zapełniona. Napróżno wmawia sam w siebie, że to jedynie zabobon, że nie masz nad gwiazdami sędziego, a chcąc się w tem złudzeniu lepiéj jeszcze umocnić, wzywa pastora, którego w swéj pysze spodziewa się zbić siłą rozumowania:— „Słuchaj, pastorze — mówi — chcę ci dowieść, żeś głupiec, lub téż że świat masz za głupi i chcę, byś mi odpowiadał. Odpowiesz mi, jeśli tobie miłe twe życie!“ — „Przyzywacie przed sąd swój Wyższego, Ten Wyższy wam kiedyś odpowie.“ —„Ale ja teraz chcę wiedzieć, teraz, téj chwili, żebym nie popełnił haniebnéj niedorzeczności i w potrzebie nie zawezwał pomocy od bałwana motłochu. Nieraz ze śmiechem szyderstwa, pijąc do ciebie ciemne krople burgundzkiego nektaru, wrzeszczałem ci w uszy: Nie, nie! nie ma Boga! — Teraz mówię z tobą na seryo i powiadam ci: Nie ma! Zbijaj mnie wszystką bronią, jaka jest w twojéj mocy, a ja ją tchnieniem ust moich zdmuchnę w powietrze.“ W strasznéj téj scenie, którą religijne uczucie słusznie wyłączyło z reprezentacyi publicznéj, lubo ona kończy się ostatecznem zdruzgotaniem zbrodniarza przez wpuszczone do jego duszy żądła wyrzutów i zgryzot sumienia, w strasznéj téj scenie, w któréj Frantz coraz więcéj traci dawnéj śmiałości i buty, usprawiedliwia się poprzednie opowiadanie snu o dniu sądu ostatecznego, a bardziéj jeszcze przygotowuje się scena następna, gdzie przejęty trwogą na wiadomość o napadzie zbójców na hrabstwo, Frantz każe uderzać we dzwony, wszystkim zbierać się do kościoła, paść na kolana i modlić się, — tak jest — modlić za niego. Gdy już rozkazy jego nie są spełniane, sam klęka w bluźnierczéj modlitwie — — ale po daremnych usiłowaniach zrywa się w dawnéj krnąbrności: — „Nie! już modlić się nie chcę! Tego zwycięztwa przynajmniéj Niebo niech nie ma! tak okropnego szyderstwa niech oszczędzi mi piekło!“—a kiedy się Schweitzer ze swymi ukazuje na progu, Frantz w obłąkaniu (bo przy zdrowych zmysłach nie targnąłby się nigdy na jedyne to życie, o prawdzie którego jest przekonany), w obłąkaniu śmiertelnéj obawy wiesza się na sznurze jedwabnym, czém sprawiedliwości poetycznéj już stało się zadość, a bozka znajduje swój wyraz w przerażającéj walce skruszonego sumienia, która go do tego samobójstwa powiodła.

Wspomniałem już, że w 1781 roku pojawiła się w druku pierwsza edycya téj tragedyi Schillera; po ukazaniu się jéj w Kwietniu, Gazeta Naukowa Erfurcka (*Erfurter Gelehrte Zeitung*) ogłosiła pierwszą krytykę w Lipcu. Sąd ten był doraźny, lecz w znacznéj części i sprawiedliwy. Krytyk wyrażał swe przekonanie, że koloryt „Zbójców“ zapożyczony był z „Don Kiszota“, mianowicie z postaci rozbójnika *Roque'a* — z *Edmunda* w „Learze“ Szekspira,— z „Ugolina“ Dantego, — z Plutarcha i z Rousseau'a. W saméj rzeczy, w tych kilku latach, dzielących „Werthera“ Goethego od „Zbójców“ Schillera, ogromny był się dokonał przewrót. Goethe osobiście doznawać musiał tego, co stworzyć zamierzał,— lecz, czegokolwiek się dotknął, wszystko pod jego rękoma stawało się prawdziwą poezyą, — nie potrzebował więc sięgać namiętnie w dziedzinę przyszłości. — Schiller, żyjący w zewnętrznym ucisku, zastał obfite źródło ukształcenia i wiedzy, z którego czerpać musiał, — ale je zastał w nieładzie, — a lubo miał poczucie wielkości i umiał wiarę w takową przelać i w swoje otoczenie, wiedział jednak zarazem, że główniejszą na siebie część pracy powinna brać w nim jedynie siła woli. Oczywiście nie mógł on mieć na myśli dowodzić swym czytelnikom, że np. zasady materyalizmu nie są dla świata korzystne,—że chcąc pogwałcone prawo sprowadzić znowu na drogę właściwą, zbłądziłby kto, zakładając bandę zbójców w górach Czeskiego Lasu. W jego oczach są-to jedynie dramatyczne dźwignie, nic więcéj, których zastosowanie na efekt doskonale już umiał obliczać, — jakoż charakter sztuki nie polega na politycznych w niéj przekonaniach, ale na niepohamowanéj grze namiętności i na niesłychanem zuchwalstwie, z jakiem poeta wypowiada wręcz najcyniczniejsze i najśmielsze dyatryby: — bo np. to, co Schiller kładzie w usta Frantzowi, a czego oczywi-

ście ani aktor na scenie, ani ja tu przytoczyć nie możem, przechodzi o wiele wszystko bezecne, cokolwiek wyrzeczono dotąd w jakimkolwiek téj doniosłości poetycznym utworze.

Dlatego też, chcąc należycie ocenić tragedyę, wypada spuścić zupełnie z oka jéj akcyę. Twórczym wówczas był Schiller tam jedynie, gdzie przechodził w namiętność; — wszelkie przejścia, intrygi, sceny motywujące są słabe; — sztuka ta jest mozaiką, ale mozaiką ze wspaniałych pojedynczych cząsteczek. Gdyby trzy pierwsze akta zaginęły, a pozostały dwa tylko ostatnie, moglibyśmy być przekonani, że posiadamy tors najpierwszorzędniejszego tragicznego utworu. Wszystko, począwszy od snu Frantza, aż do przybycia zbójców, jest tu obrazem niezrównanego przepychu, największéj przytém prawdy w dyalektyce, a wyrzuconym z piersi jakby w jednem przeciągłem tchnieniu rozszalałéj i strasznéj namiętności.

Mniéj od Frantza Moora, Karol jest tym, jakim go chciał stworzyć poeta. Każda z jego czynności zostaje pod wpływem oddzielnego usposobienia, a retoryka góruje nie tylko nad akcyą, lecz także nad jego uczuciem. Karol trzyma się porywami — i dla tego o siłach własnych nie zawsze utrzymać się zdoła: brak mu punktu ciężkości, brak właściwego jądra charakteru, które nad wszystkiem powinno panować. W drugiéj połowie piątego aktu mniemany bohater przechodzi w człowieka rzewnego uczucia, a młodociana zwłaszcza publiczność w samozłudzeniu bierze swoją litość za uwielbienie.

D. 13 Stycznia 1782 r. przedstawiono po raz pierwszy „Zbójców., na scenie teatru w Mannheimie. Frantza grał wielki ówczesny aktor niemiecki, Iffland. Powodzenie było ogromne, mianowicie w ostatnich dwóch aktach, a powtarzało się odtąd ustawicznie na wszystkich scenach niemieckich. Obce teatra przyswoiły sobie wnet pierwociny wielkiego poety, a role Karola i Frantza stały się poniekąd kamieniami probierczemi talentu wykonawczego. Co do geniuszu Schillera zaś, pomimo licznych usterków, w jakie te pierwociny obfitowały, stanowiły one ostatecznie już o jego kierunku. Tytaniczna siła wystąpiła jeszcze w „Spisku Fieska“, w „Intrydze i Miłości“, po części nawet w „Don Karlosie“, po czem dopiero, klarując się w spokój objektywniejszy, stworzyła „Wallensteina“, „Marją Stuart“, „Dziewicę Orleańską“, „Oblubienicę z Messyny“ i „Tella“. Jednocześnie z tą skłonnością nadawania kształtów poetycznych uczuciom i wyobrażeniom, rozwijał się z niemniejszą w nim siłą popęd do rozmyślania nad życiem, tak iż nie bez słuszności twierdzono, że jeżeli Schiller został przeważnie poetą, nie filozofem, głównie zapewne zawdzięczać to należy téj okoliczności, że forma dramatyczna ułatwiała mu możność wyrażania rezultatów swéj myśli, przez co strona poetyczna w nim otrzymywała przewagę i późniéj wprawdzie przez czas niejaki mogła zejść na bok, lecz nigdy stale z pola wypartą nie była. Ponieważ zaś oba te kierunki jego istoty, poetyczny i filozoficzny, rozwijały się w jednakiéj mierze i sile, przeto oddziaływały wzajem na siebie szkodliwie; sam też Schiller poznał się doskonale na téj oryginalności swojéj natury, skoro w kilka lat późniéj pisał tak do Goethego: „To właśnie nadawało mi, zwłaszcza dawniéj, pozór niezgrabności, zarówno na polu spekulacji filozoficznéj, jako też i poezji, — bo zwykle władał we mnie poeta, gdziem powinien był filozofować, a duch filozoficzny, gdzie chciałem tworzyć poezye. I dziś jeszcze nieraz mi się to zdarza, że wyobraźnia przeszkadza moim abstrakcyom, a chłodny rozum poetycznéj twórczości.“ Okoliczność ta maluje atoli jednę tylko stronę jego poetycznego charakteru w pierwszym okresie działalności; inna strona, niemniéj znacząca i oryginalna, na tem polega, że w owéj epoce ubiegał się w swoich poezyach wyłącznie o wielkość, o pełność treści i gwałtowność efektu, czego też dopinał w sposób istotnie wstrząsający i godny najwyższego podziwu, przy czem jednak, jak to dziś właśnie widzieliśmy w „Zbójcach“, tak mało posiadał ukształcenia artystycznego, zaś poczucie piękna tak słabo jeszcze miał rozwinięte, że smakowi delikatniejszemu poetyczne z tego okresu utwory Schillera musiały się wydać nieokrzesanemi, dzikiemi, przesadzonemi, ogołoconemi z miary i prawdy. Były ona najnamiętniejszym wyrazem wsystkich uczuć i myśli, poruszających jego duszę burzącą się w młodzieńczym zapale, — a ponieważ nie umiał poskromić téj namiętności, która łono jego szarpała, pierwszą lepszą brał formę, jaka się jemu nadarzała, aby tylko odpowiadała gwałtowności jego uczucia. Tak więc i w „Zbójcach“, stosownie do tego, czy dusza jego silnie miotana przejmuje się tem lub owem wyobrażeniem, na przemiany idzie ze szlachetnem oburzeniem rubaszność, ze śmiałością otwartość, pospolitość z wzniosłością, szyderstwo z powagą, nawet bluźnierstwo z najczyściejszem uczuciem moralnem a obfita ta oryginalność jego geniuszu nawet w tych objawach, które raczéj za ujemne uważać należy, dla niezliczonych generacyi potomnych była i pozostanie bogatą skarbnicą, z któréj po jednym czerpiąc rysy genialne obdarzać nas będą swojemi arcydziełami w tych wszystkich pojedynczych kierunkach, które Schiller w jednę olbrzymią całość zespolił.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkowę.

(Dalszy ciąg).

IV.

MIŁOŚĆ BOLESŁAWA.

Dwaj powracający z Niemenki do Topolina mężczyzni, szli ścieżką udeptaną śród gaju.

Wieczór był bardzo piękny lubo nieco zimny, ostry wietrzyk poruszał liśćmi drzew pomiędzy któremi migotały promienie księżycowe.

U dołu słały się szerokie cienie, w górze błyskały gdzieniegdzie gwiazdy, uroczysta cisza panowała w gęstwinach. Ścieżka którą postępowali dwaj ludzie cała zalana światłem, wiła się kręto jak wielki wąż srebrzysty u stóp leśnych krzewów i młodych brzozek, z osrebrzoną korą i drżącemi od wiatru liśćmi.

— Doskonale udeptana ścieżka, widocznie komunikacja między Niemenką i Topolinem często być musi, ozwał się żartobliwie p. Andrzéj.

Zaśmiał się Bolesław.

— Od pięciu lat zdaje mi się, że niebyło dnia w którym bym tam nie był; o ile wiem nikt prócz mnie w tem miejscu przez gaj nie przechodzi, ta ścieżka więc jest zupełnie mojem dziełem.

— Przedstawiam sobie ile ona musi przypominać myśli i uczuć z jakiemi przebywałeś ją tyle razy, rzekł p. Andrzéj.

— O, cały świat uczuć i myśli! odpowiedział Bolesław. To też znam tu każdą brzózkę i każdy krzak, każdą niemal kępinę mchu lub trawy pamiętam. Są to moi znajomi z którymi idąc tędy dzielę się zawsze radością i nadziejami memi.

— Szczęśliwyś pan, że tylko radością i nadzieją możesz dzielić się z temi niememi świadkami życia twego! zrobił uwagę p. Andrzéj.

Umilkli obydwaj i resztę krótkiéj swéj drogi przebyli pogrążeni w zamyśleniu. Śród zamyślenia tego oczy Bolesława błądziły w górze, między szczytami drzew, zawisały na promieniach księżyca i biegły po ich nici ku niebu; wzrok p. Andrzeja był utkwiony w ziemię.

Jakiś biegły pono fizyonomista uważał że ludzie młodzi, nie znękani bólami życia, ze zdrojem świeżéj poezji w sercu często spoglądają w górę; ci zaś którzy przebyli znaczną część wędrówki ziemskiéj, w których sercu nie jeden żal zamieszkał, podniosła się nie jedna mogiła, ci którzy mają czoło zmęczone gorzkiemi myślami i oporem przeciwności, często swe oczy zwracają ku ziemi.

Młodość szuka spójrzeniem niebieskiego światła, które na podobieństwo jéj gorące jest i jasne, starość wpatruje się w cień przypominający mogiłę.

— Pomimo pięknéj pogody wieczór porządnie jest chłodny, rzekł p. Andrzéj wchodząc na ganek Topolińskiego dworku, i zacierając ręce od zimna.

— Wiatr lekki ale ostry, odpowiedział Bolesław i wprowadził gościa do bawialnego pokoju. Na stole przed kanapą paliła się lampa przykryta zieloną zasłoną, a na kominku umieszczonym w rogu pokoju płonął żywy ogień z suchych drewek. Stary sługa stał pochylony przed ogniem i poprawiał drzewo, a blask płomienia różową łuną oświecał głowę jego białym jak mleko włosem pokrytą i czoło szeroką szramą ozdobione.

— Poczciwy Krzysztof domyślił się znać, że przyjdziemy zziębnięci i rozniecił dla nas ogień, rzekł p. Andrzéj wesoło.

Krzysztof uśmiechnął się z zadowoleniem a Bolesław odpowiedział.

— Ogień na kominie należy do najmilszych moich nawyknień. Jak u prawdziwego Litwina wieczny płomień Znicza goreje w mojéj chacie.

Krzysztofie, dodał zwracając się do starego sługi, dla lepszego rozgrzania się naszego przyniesno nam butelkę tego miodu... co to wiesz.....

Sługa kiwnął głową w znak zrozumienia i wyszedł. Po chwili gospodarz i gość siedzieli niedaleko ognia przed stolikiem na którym stały kieliszki i butelka ciemnego od starości miodu.

— Opowiadała mi pani Niemeńska o wszystkiem coś dla niéj uczynił, mówił p. Andrzéj.

Nie gniewaj sie za mą otwartość kochany panie Bolesławie, ale nie mogę wstrzymać się, aby ci nie powiedzieć że był to prawdziwy obywatelski z twojéj strony postępek.

— Był to bardzo prosty postępek, którego by dopełnił każdy uczciwy człowiek będący na mojem miejscu, z prostotą odpowiedział Bolesław.

Widziałem że pani Niemeńska rady sobie dać nie mogła z gospodarstwem, że jeszcze lat kilka a niezawodna ruina i nędza spotkałyby ją i jéj synowicę, dopomogłem więc jéj radą i czynnem zajęciem się. Zdaje mi się, że niewielu znalazłoby się ludzi którzyby tego samego nie uczynili dla osieroconych kobiet i blizkich sąsiadek.

— Ale i pannę Wincentę podobno sam wyedukowałeś? rzekł z uśmiechem p. Andrzéj.

Bolesław uśmiechnął się i odpowiedział wesoło.

— O, jeżeli i to można dobrym czynem nazwać, to otrzymałem zań taką nagrodę, że jeżeli prawa niebieskie zabraniają ludziom odbierania lichwy za monetę poczciwych postępków, będę niezawodnie karany na tamtym świecie jako lichwiarz. Za to teraz stoję u wrót do raju, co mówię? jestem już w raju a czekam tylko rychło siódme niebo otworzy się dla mnie.

Zaśmiał się ale w śmiechu jego zadrżała rzewność, rzewność najgłębsza bo ze szczęścia, pragnień i nadziei zrodzona.

P. Andrzéj przypatrywał się przez chwilę swemu towarzyszowi z życzliwem zajęciem, potem rzekł.

— Im więcéj mówię z panem tem więcéj uważam jak bardzo i serdecznie kochasz swoją narzeczonę.

— Niezmiernie i bez granic, z uczuciem odpowiedział Bolesław; bo pomyśl pan sobie że znam ją od dzieciństwa, przywykłem do niéj jak do promienia który wlewa w moje życie, wesele, wdzięk i poezję. Mogę w istocie powiedzieć, że po części sam stworzyłem w niéj duszę. Gdy osierociała po ojcu była dzieckiem ładnem, dobrem, pojętnem ale bardzo zaniedbanem.

Natura dała jéj dobroć serca, piękność i tę żywość umysłu, która nieskończonym urokiem bywa w kobiecie nią obdarzonéj; ja obudziłem w niéj myśl, przez codzienne przebywanie z nią, naukę, ciągłe z nią rozmowy, przelałem w nią część samego siebie, pojęcia moje i prawdy, które tkwią w głębi mego własnego ducha. Zewnętrzna i wewnętrzna jéj piękność zarówno wzrastały i rozwijały się pod mem okiem, patrzyłem na nią jak na cudownie wdzięczny utwór natury, a serce moje radowało się za każdym razem gdy moje oczy ją ujrzały. I zważ pan tylko jak dziwnie układają się na tym świecie sprawy ludzkie, jak dziwne są niekiedy drogi Opatrzności.

Wszak ja rozpościerając męzką opiekę moją nad temi dwoma kobietami, z których jedna była w podeszłych latach, druga dwunastoletniem dzieckiem, żadnych myśli wstecznych ani egoistycznych celów nie miałem i mieć nie mogłem.

I późniéj długo jeszcze w głowie mojéj, nie pojawił się żaden plan osobisty a serce nie doświadczało innego uczucia, prócz zadowolenia gdym widział że praca moja przynosi rzetelne korzyści tym, dla których ją ponosiłem. Kochałem Wincunię jak młodszą siostrę, lubiłem jéj wdzięk dziecinny, żywość, pojętność, niekiedy nawet mianowicie wtedy gdym ją uczył lub napominał, zdawało mi się prawie że ona jest moją córką. I późniéj dopiero, nagle, niespodzianie przyszła chwila, która mi ją ukazała inaczéj

niż ją dotąd widziałem, a w sercu mojem posłyszałem głos który mi mówił: tu szczęście twoje, to jedyna kobieta, którą w życiu swem kochać będziesz! Tak, jedyna, bo przed nią nie kochałem sercem żadnéj kobiety, lubo już mam rok trzydziesty drugi, a o tem abym miał kiedy w przyszłości oprócz niéj inną jeszcze kochać i pomyśleć niepodobna.

Umilkł owładnięty silnem wzruszeniem, a po chwili mówił daléj patrząc w płomień, jakby w nim widział odtwarzające się obrazy swoich wspomnień.

— Było to przed rokiem przeszło; Wincunia miała wtedy rok szesnasty. Do owego czasu obchodziłem się z nią jak z młodszą siostrą.

Przy powitaniu i pożegnaniu całowałem ją w czoło a niekiedy i w usta. Zwyczaj ten zaczął istnieć między nami od pory, gdy ona miała lat pięć lub sześć, a ja z ojcem moim odwiedzałem Niemenkę i trwał już potem ciągle. Dobrze mi było z tą poufałością, bom lubił Wincunię, ale nigdy nie doświadczałem żadnego by najmniejszego wzruszenia przy niéj, bo patrzyłem na nią jak na dziecko i jak dziecko całowałem ją i uczyłem. Pewnego dnia siedziałem z nią w téj saméj altanie w któréj dziś piliśmy herbatę, ona coś szyła, ja czytałem jéj poezje Mickiewicza. Każdy szczegół téj chwili pozostał głęboko wyryty w méj pamięci, pamiętam więc że miała na sobie białą suknię, habrowy wieniec na głowie a długie kosy jéj, swobodnie spuszczone spływały na jéj ramiona i plecy. Czytałem jakiś piękny ustęp z Tadeusza i tak mię on pochłonął, że zapomniałem o wszystkiem co mię otaczało, nawet o towarzyszce mojéj która mię słuchała.

Machinalnie, odwracając kartę książki podniosłem oczy i spojrzałem na Wincunię i dziwna rzecz, nie mogłem już od niéj wzroku oderwać. Siedziała obok mnie, z robotą i rękami złożonemi na kolanach, z głową podniesioną i oczami utkwionemi we mnie. Promień słońca ozłacał jéj wieniec i ślizgał się po białéj sukni, oczy jéj miały tak głęboki szafir jaki mieć musi niebo Włoskie tak często opiewane przez poetów — a w źrenicach błyszczały dwie ruchome złotawe iskry.

Szybka, błyskawiczna myśl: „jaka ona piękna!“ przeszyła mi mózg niby rozpalonym drutem i ścisnęła skronie. Poczucie to było prawie bolesne. Serce uderzyło mi w piersi mocniéj jak zwykle. Było to jak objawienie jakieś, jak obudzenie się ze snu spokojnego, przez silne, magnetyczne wstrząśnienie. Wincunia położyła dłoń na mojem ręku i widząc że się w nią niezwykle wpatruję, rzekła: „czytaj że pan daléj, to takie piękne!“ Przy dotknięciu jéj zadrżałem cały — probowałem czytać i nie mogłem.

Odrzuciłem książkę i wyszedłem z altany nie rzekłszy do niéj ani słowa. Nie wiem co wtedy myślała o mnie. Szedłem jak upojony.

Nie myślałem o niczem i nie zdawałem sobie sprawy z mego stanu, instynktowo tylko czułem że powstaje we mnie coś nowego, że rodzi się we mnie jakaś nieznana mi dotąd potęga uczucia, a wewnętrzne urodziny te poczuwałem dziwnem przepełnieniem piersi i tysiącem nagłych błyskawic, które mi mózg przeszywały. Poszedłem do domu nie pożegnawszy się z nią ani z jéj ciotką. Sądziły żem nagle zasłabł i przysłały dowiadywać się o mojem zdrowiu. Ale posłaniec ich nie znalazł mię w domu bo cały dzień chodziłem po gaju, polach, łąkach — bez celu, siląc się odzyskać samego siebie a nie mogąc,

Nazajutrz przyszedłszy do Niemenki, chciałem powitać Wincunię zwykłym pocałunkiem, ale gdym ją wziął za rękę i spojrzał w jéj oczy, poczułem zawrót głowy, bicie pulsów w skroniach i szybko odwróciłem się od niéj. Zacząłem coś mówić, niepamiętam już co, ale mówiąc myślałem sobie kocham ją! W istocie, od owéj dopiero chwili zacząłem ją kochać jak kochanek.

Czemu od owéj chwili? dotąd zrozumieć nie mogę, jak bodaj nikt nie rozumie czem są i zkąd pochodzą te nagłe błyskawice miłości, które niespodzianie i w mgnieniu oka obejmują człowieka wtedy często gdy najmniéj się ich spodziewa. Czy nastroiła mię ku temu poezja którą czytałem pod gołem niebem i promieniami gorącego słońca? Czy we mnie samym siły serca wezbrały tak że musiały już wybuchnąć nagłą dla kobiety miłością?

Nie wiem, dosyć że od téj pory Wincunia stała się dla mnie czemś świętem, promienistem, przecudnie pięknem, czemś takiem do czego zbliżyć się wszystkiemi siłami istoty mojéj pragnąłem — a nie śmiałem. Od téj pory pokochałem ją tak że gdybym ją stracił... o, pomyśleć nawet o tem nie mogę bo na samą tę myśl w głowie mi się mięsza...

— Ależ tego przypuścić nawet nie można, zawołał p. Andrzéj; któraż kobieta kochana tak jak ty kochasz nie pokocha wzajem? któraż nie oceni tak szlachetnego serca jak twoje? chyba taka któraby cię nie była warta...

— Tak, odpowiedział Bolesław, pewny jestem że ona mię kocha, że będzie moją, dziś już jest moją sercem i myślą a jednak czy wiesz pan, trwoga jakaś przejmuje mię niekiedy. Obawiam się zbytku własnego szczęścia, zdaje mi się że ono tak wielkie i zupełne długo trwać nie może.

— Zasłużyłeś na nie, rzekł p. Andrzéj.

— O, ono będzie nad wszelkie zasługi moje jeśli nawet mam jakie, odpowiedział Bolesław. Nie wystawisz pan sobie w jak czarownych barwach przedstawia mi się przyszłość. Dobra, myśląca i ukochana kobieta w domu to błogosławieństwo, poezja każdego dnia, rozkosz każdéj chwili. Wyobraź sobie pan ile życia, ruchu, wesołości przybędzie do mojéj ustroni z tą przedziwnie wdzięczną istotą. Dźwięk jéj piosenki, którą ciągle nuci jak skowronek napełni moje ściany. Wracając od pracy znajdę ją tu zawsze wesołą, dobrą, piękną gotową do podzielenia ze mną każdéj chwili, do osłodzenia każdéj troski. Widzisz pan, poetyczne i dziewicze jéj tchnienie już ją tu poprzedza. Ten kwiat w doniczce, tę robótkę kobiecą na stole ona mi dała — wdzięk niewieści już zaczyna rozlewać się w moim domu i cieszyć moje oko. Przyznaj pan sam, dla mężczyzny z poczciwem sercem i choć trochę wykształconą myślą, praca miła i użyteczna za domem a ukochana kobieta w domu, to raj ziemski! nieprawdaż?

Umilkł, oczy jego płonęły. Po chwili mówił daléj.

— Marzenia moje a raczéj nadzieje przybierają niekiedy szersze rozmiary i unoszą się po nad osobistość moją. Zdaje mi się że mężczyzna choćby był najgorliwszym pracownikiem i najuczciwszym człowiekiem, jeśli nie poniesie w swem życiu ciężarów i nie spełni obowiązków ojca rodziny, nie dokona jeszcze całkiem zadania obywatela kraju. Nie dość jest działać wedle sił i możności samemu, trzeba jeszcze i innych działania nauczyć. A w kogóż łatwiéj człowiek przeleje prawdy jakie sam w duszy swéj nosi jeśli nie w dzeci swe? Komuż zostawi on w spuściźnie zacność swą, honor, miłość dla kraju i pracy dla niego, jeśli nie synom swoim? Sfera w któréj ja działam maluczką jest, ale chociażby to drobne zadanie jakie sam spełniam na ziemi, chciałbym komuś po sobie zostawić. Praca robaków nie dostrzegalna jest i powolna, a jednak podkopuje lub wznosi góry. Synowie moi zresztą możeby innemi szerszemi poszli drogami, ale zawsze takbym potrafił ich wychować, że w każdym zawodzie byliby poczciwymi ludźmi i użytecznymi obywatelami kraju. Oto są marzenia moje o ojcowstwie a do nich łączy się i panuje nad niemi zawsze taż sama postać kobiety, która dla mnie nie tylko ma być wdziękiem i rozkoszą życia, ale ma mi dać jeszcze ten cel najwyższy egzystencji, tę nieskończoną nadzieję przelania mojéj duszy w inne dusze, pozostawienia po sobie kogoś kto będzie myślał, czuł i działał nie już tak jak ja to czynię, ale jak bym czynić pragnął.

Przestał mówić, a pan Andrzéj długo patrzył na niego i w oczach jego kręciła się łza.

— Przyjacielu mój zacny, bo pozwól że cię tak nazwę, ozwał się po chwili, dziękuję ci za tę wielką radość, jaką mi sprawiasz pozwalając mi patrzeć w głąb twéj duszy. Jam dawno już rozstał się z osobistemi troskami i pociechami. Dobro ogólne to teraz radość moja, nieszczęścia ogólne to moje boleści. Nie dziw więc że gdy patrzę na umysły słabe, serca zepsute, zdolności zmarnowane, płaczę wewnętrznemi łzami, i nie dziw też, że gdy widzę zacność, prawość, pracę wytrwałą, radość mię ogarnia a z przed oczu moich zmęczonych patrzeniem na mnóstwo nieszczęść, usuwa się zasłona ukrywająca przyszłość i w dali widzę słońce lepszéj doli które ci pracownicy, ci szlachetni i wytrwali i ci tylko sami jedni sprowadzić mogą nam niebo nasze. Dla tego to choć znam cię od dzisiejszego dopiero poranku, ale zajrzałem już głęboko w twą duszę, kocham cię i w moc siwych włosów moich błogosławię ci! Pozwól niech cię uściskam! Powstali oba i uścisnęli się serdecznie. Śród uścisku tego p. Andrzéj powtórzył kilka razy z cicha a gorąco.

— Takich nam trzeba! takich nam trzeba!

— A teraz, zawołał, wypijmy zdrowie twojéj ślicznéj narzeczonéj!

Podnieśli kieliszki.

— Panie łaskawy, zawołał wesoło Bolesław, ponieważ zyskałem łaskę u ciebie, przyrzecz mi o co cię będę prosił!

— Co? mów, pytał p. Andrzéj.

— Przyjedź na moje wesele!

— Choć z końca świata, odparł rozweselony gość i znowu się uścisnęli.

V.

LEW PARAFJALNY.

O milę od Niemenki i Topolina, o dziesięć wiorst od Adampola było miasteczko X. często odwiedzane przez okolicznych mieszkańców z powodu parafijalnego kościoła i cotygodniowych targów, i sławne tak zwaną oberżą, nad któréj wrotami jaśniał na brudno żółtéj tablicy brudno-błękitnemi nakreślony literami, napis: „*Herbata, kawa, billard i różne inne tym podobne trunki.*“

Kościół parafjalny dość duży, murowany, z obszernym cmentarzem ogrodzonym ładnemi sztachetami, stał na niewielkiem wzgórzu a z za niego ukazywała się w cieniu drzew owocowych plebanja z małym, czystym domkiem, zielonem podwórkiem i zgrabnem otoczeniem z żywopłotu.

Oberża w któréj znajdywał się *billard i różne temu podobne trunki*, obszerna, dwupiętrowa, z szerokim podjazdem wspartym na murowanych słupach, stała w samym środku miasteczka, na placu otoczonym niskiemi domkami, w których mieszkali rzemieślnicy po większéj części żydzi, żyło kilka ubogich dewotek i mieściło się kilkanaście małych sklepików z mydłem, świecami, skórami i tasiemkami i tym podobnemi drobiazgami.

W Plebanji mieszkał proboszcz niemłody i zacny człowiek, powszechnie poważany dla swéj oświaty i kapłańskiéj cnoty.

Właścicielem oberży był Szloma, żyd rudy, brodaty i pejsaty, sławny w okolicy z zaprowadzenia u siebie billardu, który dotąd rzadko tam był widywany i chyba tylko w bogatych obywatelskich domach, a obok niego żyła Sara roztropna i gadatliwa żydówka. Zresztą oboje Szlomowie mieli w sąsiedztwie dobrą opinję, a oprócz tego każde z nich posiadało w sercu swem źródło, z którego czerpało dla siebie niepospolitą chlubę, Szloma dumny był tem, że pierwszy zaprowadził w swéj karczmie herbatę, kawę i billard i jako człowiek inicjatywy z góry spoglądał na zacofanych kolegów karczmarzy którzy dotąd gości swoich przyjmować mogli tylko wódką i obwarzankami. Szlomowa zaś chlubiła się że rodem jest z Wilna, a zatem urodziła się i wychowała na wielkim świecie, nie tak jak jéj znajome żydówki, które nic więcéj nie widziały nad mieścinę X. albo wioskę w któréj ich mężowie gorzałkę szynkują.

Pewnéj pogodnéj, kwietniowéj niedzieli, w miasteczku wielki ruch panował jak zresztą było tam każdéj prawie niedzieli. Chłopi, szlachta i panowie schodzili się i zjeżdżali na nabożeństwo.

O godzinie 10 zrana a zatem na dobrą godzinę przed rozpoczęciem się nabożeństwa, gromady ludu zebrały się przed kościołem. U wrót plebanji stało także parę szlacheckich dwukonnych bryczek, znać właściciele ich przybywszy wcześnie poszli odwiedzić przede mszą proboszcza, a może dać mu na jakie egzekwje żałobne, albo na odśpiewanie litanji dla ubłagania u Boga urodzajów.

Ale i przed oberżą stało niemało koni, wozów i bryczek, a we wnętrzu jéj gwar był nielada. W pierwszéj szynkownéj izbie siedziało na ławach kilkunastu chłopów i dwoje dzieci.

Szlomy chłopak i dziewczyna, rozczochrane wyrostki częstowali ich gorzałką. Z izby téj był wchód na wschody prowadzące na pierwsze piętro *allias* na facyjatkę drewnianą, dobudowaną przez Szlomę u wierzchu murowanéj karczmy, w celu pomieszczenia owego sławnego billardu.

Facjatka zawierała jedną obszerną izbę, ochrzczoną przez dumnego ze swéj innicjatywy Szlomę nazwiskiem *sali*. Publiczność korzystająca z improwizacji przez wdzięczność dla nowatora, przyjęła to nazwanie i mówiło się zwyczajnie: być na sali, grać w bilard na sali, widzieć się z kim na sali i t. p.

W sali były trzy okna wychodzące na rynek, podłoga z nierównych desek sklecona i na czerwono

pomalowana, ściany niegdyś wybielone, ale już popielate od kurzu i palonych tam cygar.

Pośrodku stał billard, w czasie nieużywania go powleczony grubem szarem płótnem; u okien wisiały firanki podobnéj białości jak ściany, a tylko ozdobione festonami z pajęczyny, na oknach stały powyszczerbiane doniczki, z nawpół uschłem gieranium i kaktusami. Wkoło ścian były rzędy kijów billardowych, kilkanaście krzeseł spłowiałym perkalem obitych, kanapa czerwono malowana z podartem obiciem, z którego dziur wyłaziła i kłuła siadających szorstka pilśń i parę stolików mogących służyć tak do gry kartowéj jak i do picia kawy, herbaty i *tym podobnych trunków*.

Taką była sala.

Szloma był z niéj dumny i nietylko Szloma ale i inni miejscowi żydzi. Przechodząc koło oberży podnosili głowę do góry, patrzyli na okna facjatki i wskazując je palcami mówili między sobą:

— Siehst du? firanki!

W ową kwietniową niedzielę o g. 10 zrana, na sali znajdywało się kilku młodych ludzi. Dwóch z nich siedziało pod oknem i piło herbatę. Nie wyjechali oni zapewne z domów swych przed śniadaniem, ale picie herbaty u Szlomy, było uważane przez uczęszczających na salę za oznakę dobrego tonu — herbata zaś z arakiem oznaczała ton najlepszy. Dwóch czy trzech innych pobrawszy się pod ręce, chodziło wkoło billardu rozmawiając i śmiejąc się głośno, w czem i pijący herbatę dopomagali im gorliwie tem łatwiéj, że pili bardzo powoli wyraźnie dusząc się napojem, który mówiąc w nawiasie — obrzydliwy bywał na sali.

Wszyscy ci młodzi ludzie wyglądali pół ze szlachecka, pół z pańska. Tużurki ich i paletoty z cienkiego sukna były to za długie, to za krótkie, wyraźnie robione przez miasteczkowego krawca, żyda Lejbę o siwych pejsach i czerwonym nosie. Olbrzymie kokardy krawatów pstrzyły się różnemi barwami a ręce grube, muskularne, opalone kłóciły się z glansowanemi rękawiczkami różnych kolorów, rzuconemi na billard lub wyglądającemi z kieszeni.

Nagle na nierównym bruku, który Szloma ku większéj swéj sławie kazał urządzić pod oberżą, zaturkotały koła szybko nadjeżdżającéj najtyczanki i cała młodzież rzuciła się do okien.

— Snopiński przyjechał! zawołali wszyscy.

Drzwi otworzyły się z wielkim łoskotem i wpadł przez nie Aleksander w eleganckiem ubraniu z orzechowego sukna, w zgrabnéj czapeczce, ciemno zielonych rękawiczkach i z laseczką o pozłacanéj gałce w ręku.

— Jak się masz Olesiu! cóż tak późno Olesiu! wołali poufalsi.

— Jak się ma p. Aleksander! czekamy pana! mówili mniéj widać znajomi.

Aleksander rzucił laseczkę na krzesło i zawołał do żydka wyrostka, który się za nim w drzwiach ukazał.

— Herbaty Mowsza!

Żydek poskoczył a Aleksander zawołał jeszcze za nim.

— Herbaty z arakiem! tylko żeby był *fein* Jamajka, rozumiesz?

Potem zaczął witać się z towarzyszami, którzy wszyscy tak energicznie ściskali mu rękę, że aż na niéj pękła zielona rękawiczka, i tak serdecznie ściskali go i całowali, że mu z głowy spadła czapka któréj był wchodząc nie zdjął.

— A! zawołał rzucając się na kanapę, ledwie zdołałem dziś wyrwać się z domu! Przyjechał do nas jakiś pan z Kowieńskiego — krewny nasz bogaty człowiek, ale djable nudny bo uczony i papo chciał żebym dziś jechał z nim do kościoła na jednéj bryczce. Ale nie głupim! wykręciłem się a to naprzód dla tego, że nie mógł bym już być na sali przed nabożeństwem, a potem że szanowny kuzyn prawiłby mi przez całą drogę morały.

— Cha, cha, cha! zaśmiała się młodzież, a jakież to on tobie prawi morały?

— No naturalnie że nie mówi wyraźnie do mnie, odpowiedział Aleksander zapalając papierosa w pół leżącéj postawie; już chwała Bogu nie jestem dziecko ani żaden student. Ale tak niby ubocznie ciągle mi rozpowiada o swoich synach, jak to oni uniwersytety pokończyli, jakto oni pracują, jak to każdy młody człowiek pracować powinien ku pożytkowi ludzkości i chwale pana Boga i t. p. i t. d. A ja słucham tego wszystkiego i niby nie rozumiem że on do mnie pije. Każdy przecież ma swoje zdanie; on swoje a ja swoje!

— A naturalnie! potwierdziło kilka głosów.

— Siankowski! zawołał Aleksander nagle zrywając się z kanapy, widziałem twoje konie przed oberżą! śliczne słowo daję kasztanki! Zkąd ich wziąłeś? a gdzieżeś podział swoje siwki? Pewno uciąłeś handelek i porządnie okpiłeś kogoś bo miały początki nosacizny. No przyznaj się, prawda?

— Jak Boga kocham, za mój miły gotowiusieńki grosz kupiłem kasztanki! tłómaczył się śród ogólnego śmiechu wzbudzonego słowami Aleksandra, barczysty i ogorzały młody człowiek, z głosem niepospolicie grubym i w tużurku niepospolicie długim.

— No, a wieleś za nich zapłacił?

— Co zapłaciłem to zapłaciłem, nie powiem!

— Kłamie, słowo daję kłamie! zawołał Aleksander. Już ja jego znam. On na każdy jarmark prowadzi konie i zawsze wsadzi komu nosate, kulawe albo ślepe a w zamian weźmie dobre. To samo zrobił i z siwemi!

Wszyscy śmieli się, Siankowski się obraził.

— Spytajcie się mego ojca jeżeli za kasztanki nie zapłaciłem gotowemi pieniędzmi, rzekł z nadąsem.

— „Masz cyganie świadki? mam żonę i dziatki?“ drażniącym głosem wymówił ktoś z towarzystwa. I znowu był śmiech ogólny.

— Ale wiecie co? że nie ma lepszych koników w okolicy jak u Topolskiego, odezwał się ktoś z boku, widziałem je wczoraj w bryczce, myszate, bystre a zgrabne jakby cacka!

— U jakiego to Topolskiego? spytał ktoś z dalszych stron przybyły.

— A u tego z Topolina.

— Aha! u tego co to zaręczony z panną Niemeńską.

— Djable szczęśliwy z niego człowiek, słowo daję! zawołał Aleksander; najładniejsze ma konie z okolicy, i zaręczony z najładniejszą panną! Słuchaj Kotowicz! dodał zwracając się do wysmukłego młodzieńca w obcisłym paletocie, ty w niéj kochałeś się? prawda? i dostałeś odkosza? co?

— Gdzie tam, protestował Kotowicz, za wysokie progi na moje nogi. Ja sobie tylko komissarz choć wprawdzie na wielkim majątku, ale ona ma swój własny folwark. Zresztą już i zaręczona z Topolskim od roku.

— Głupstwo! rzekł Aleksander, zaręczyny pajęczyny.

— Ale jabym tam niczyjéj narzeczonéj nie chciał, odpowiedział Kotowicz; panna Wincenta podobała mi się co prawda, ale jak dowiedziałem się że zaręczona, to i dałem pokój. Broń mię Boże abym miał komu narzeczoną odbijać.

— A jabym odbił gdyby się mi spodobała, rzekł Aleksander; co to ma jedno do drugiego? A znasz przysłowie: koń zatargowany, panna zaręczona...

— Zawsze to jednak nie godzi się.. przerwał mężczyzna otyły, łysy i zająkliwy.

— Ej! tobie Rybiński hreczkę siać i pacierze mówić a nie o takich rzeczach sąd wydawać, odpowiedział Aleksander a wszyscy głośno zaśmieli się.

— Niech sobie będzie i tak, lepiéj pacierze odmawiać i hreczkę siać jak bąki zbijać po świecie, odciął się Rybiński a Aleksander zmięszał się trochę i odwrócił od niego.

— Słuchaj Olesiu, ty w czepku się rodziłeś, rzekł ktoś z towarzystwa, wszak panna Wincenta choć zaręczona bardzo mile na ciebie spogląda!

— At! skądże wiecie o tem! rzekł Aleksander poprawiając krawata.

— Oho! szydła w worku nieutaisz! alboż to nie widać było jak spojrzała na ciebie któréjś niedzieli, kiedy to jéj książkę pod kościołem podałeś!

— Czy doprawdy? spojrzała? pytał Aleksander muskając wąsiki.

— O! nibyś sam nie widział! niewiniątko! zawołał Siankowski.

— Słowo daję nie widziałem, rzekł Aleksander gładząc ciągle wąsik.

— A pani Karlicz? czy i o téj nic nie wiesz? żartobliwie zapytał ktoś inny.

— No pani Karlicz, to co innego! odpowiedział młodzieniec śmiejąc się znacząco.

— Bodaj to być takim ładnym chłopcem zawołał barczysty i ogorzały Siankowski. Ech, jak Boga kocham, czemu to ja nie mam takiéj czupryny i takich kobiecych rąk jak on!

— Głupstwa gadacie i po wszystkiem, rzekł Snopiński z widocznem zadowoleniem; ot pójdźmy lepiéj do kościoła!

— Jeszcze nie dzwonili! odpowiedział ktoś inny.

— To co? popatrzym jak damy będą podjeżdżać pod kościół.

Wszyscy młodzieńcy z Aleksandrem na czele wyszli z oberży, przeszli przez rynek rozmawiając i śmiejąc się głośno ścigani oczami zachwyconych nimi chłopów i żydów, stanęli rzędem przed sztachetami otaczającemi kościół. Aleksander umieścił się tuż przy wnijściu na cmentarz, wywijał laseczką, rozprawiał z towarzyszami i rzucał spojrzenia i żarciki między grona wiejskich dziewcząt i mołodyc, które siedziały nieopodal na ziemi i wszystkie prawie ukradkiem na niego zerkały.

— Niech cię diabli Olesiu! jakie masz ładne paleto! zawołał jeden z młodzieży. Kto ci go robił? pewno nie Lejba?

— Sprowadziłem je z Warszawy, odpowiedział Snopiński muskając wąsik, i czapkę tę także.

I zdjąwszy z głowy czapeczkę, w któréj wnętrzu był w istocie stempel jednéj z fabryk Warszawskich, pokazał ją obok stojącemu towarzyszowi. Czapka poszła w kurs i wszyscy się nią zachwycali.

— Patrzcie go tego Olesia! wołał Siankowski, ubiera się w Warszawskie stroje! Ależ to musi tęgo kosztować. Jakto papunio tyle pieniędzy tobie daje.

— Mam swoje, odpowiedział Aleksander wkładając z szykiem zwróconą mu czapeczkę.

— Masz pan swoje? wyjąkał łysy Rybiński, a zdaje się że i czasu jeszcze nie miałeś zapracować na własne pieniądze!

Aleksander z góry na niego spojrzał i uśmiechnął się ironicznie.

— Mój panie Rybiński, wyrzekł, tylko hołysze nie pracując nie mają pieniędzy, a ja do takich dzięki Bogu nie należę. Ojciec mój trzyma dzierżawę ot tak sobie dla zabawki i przyzwyczajenia, ale gdyby chciał mógłby mieć własny majątek.

— A słyszałem że twój ojciec chce dla ciebie majątek kupić, ozwał się Siankowski.

— A tak, odpowiedział niedbale Aleksander, ale ja nie chcę osiadać w tych stronach, bo tu żadnego porządnego majątku nie ma do kupienia; same drobiazgi!

— Owszem, zarzucił Kotowicz, słyszałem że Przeniczna hrabiny jest do sprzedania. To śliczny majątek, trzydzieści chat, sto dwadzieścia morgów ziemi w każdéj zmianie, i kawał pięknego sosnowego lasu.

— Co to znaczy? rzekł Aleksander, jabym chciał coś kompletnie porządnego z ośmdziesiąt chat przynajmniéj — a nadewszystko żeby dwór był piękny.

— Ależ to gmachu pieniędzy potrzeba, żeby kupić taki majątek! zawołało kilka głosów.

— A cóż z niemi lepszego zrobić kiedy są? z pełnym wyższości uśmiechem rzekł Aleksander. Już jeżeli gospodarować to na czemś dobrem — na małem to dla mnie nie warto!

— Patrzcie go jaki wielki pan! szepnął Kotowicz do Rybińskiego.

— A tak, odszepnął Rybiński; tatko jak był w jego wieku chodził w siermiędze i podartych butach, i zaczynał od dzierżawek na pięciu chatach — a synalek dowodzi że na małem gospodarzyć nie warto!

— Ciekawym też czy jego ojciec w istocie taki bogaty?

— Czyż nie znasz bogactwa dzierżawcy? Jak ma porządne inwentarze i kilka tysięcy rubli gotówki, to i chwała Bogu. Ale zobaczysz jak to synek pięknie i prędko z dymem puści!

— Spodziewam się! paletoty z Warszawy!

— I czapeczki!

— A i jeździł panicz do Warszawy przeszłego lata, pewnie tam porządną sumkę na bruku zostawił.

— A jakże! ale przywiózł kilka tuzinów rękawiczek, które nam pokazywał i cukierków dla pani Karlicz.

— Żal się Boże! ja nie wiem jak to pani Karlicz nie wstyd takiego, za pozwoleniem, błazna bałamucić! Toć to bogata obywatelka i nie pierwszéj młodości!

— Zachciałeś! ładny chłopiec!

Gdy tak dwaj szlachcice szeptali między sobą z ukosa spoglądając na dandysującego się pod sztachetami Aleksandra, ktoś zawołał.

— Siankowscy jadą!

Na placu ukazał się staroświecki kocz poczwórny, a w nim siedziała familja Siankowskich dzierżawią-

ca także jeden z majątków hrabiny L. i złożona z matki, dwóch córek i ogorzałego ojca.

Gdy powóz zatrzymał się przed wrotami cmentarza Aleksander poskoczył, otworzył portjerę a zdejmując czapeczkę i kłaniając się elegancko pomagał wysiadać paniom. Pocałował matkę w rękę, uścisnął rączki panienek, pytał o zdrowie, wołał że piękna pogoda i cały w ukłonach i komplementach odprowadził damy do połowy cmentarza, potem wrócił na swoje stanowisko. Wysokie, świeże i nieszpetne panny Siankowskie uśmiechały się doń bardzo mile, a gdy odszedł jedna z nich obejrzała się za nim parę razy.

(d. c. n.)

SZKICE

Z PODRÓŻY PO WYŻSZÉJ ETYJOPJI (¹).

Cała Afryka środkowa tak mało jest dotąd znana, że każda o niéj wzmianka niezwykłe budzi zajęcie, bo niegościnne i niezbadane jeszcze jéj okolice żywo przemawiają do wyobraźni, niewypowiedzianym urokiem opromieniającéj odważnego wędrowca, co niezrażony groźnemi, na każdym kroku napotykanemi niebezpieczeństwami, śmiało przedarł się do jéj tajemniczego wnętrza, aby z narażeniem własnego życia, przyłożyć jedną więcéj cegiełkę do gmachu nauki i wiedzy.

W ostatnich czasach, z powodu angielskiéj wyprawy abissyńskiéj, gazety i pisma perjodyczne w ogóle wiele pisały o Etyopji, jednak wszystko to nie daje jeszcze dokładnego wyobrażenia o tym ciekawym kraju i mieszkańcach jego, którzy mimo dzikości swojéj, odznaczają się niezaprzeczenie wrodzoną szlachetnością i dobrocią. Jednem z najwięcéj zajmujących i najgruntowniéj opracowanych opisów o ojczyznie nieszczęsnego Teodorosa, jest, wydane obecnie w Paryżu znakomite dzieło p. Arnauld'a d'Abbadie „*Douze ans de séjour dans la haute Ethiopie*“ z którego podajemy tu sprawozdanie i wyjątki.

Zaledwie skończywszy lat dwadzieścia, śmiały nasz podróżnik udał się do Etyopji, w celu poznania obyczajów, charakteru i stopnia cywilizacji mieszkańców, tego prawie zupełnie jeszcze wówczas nieznanego kraju. Oddalone te wybrzeża i na wpół dzicy ich mieszkańcy, potrafili tak ująć i przywiązać do siebie uczonego Europejczyka, iż całe lat dwanaście w pośród nich przepędził. Opierając się na danych wskazanych mu przez krajowców, p. d'Abbadie dzieli kraj cały na trzy wielkie części, a mianowicie: Deugas czyli krainy wyższe, Kuallas czyli krainy niższe i Woina-Deugas czyli krainy pośrednie. Deugas odznacza się ślicznem położeniem i różnobarwną zielonością. Źródła i strumyki szemrzące wśród wiosek, podtrzymują roślinność i mile orzeźwiają powietrze. Liczne trzody baranów i gromady żubrów spokojnie paszą się na bujnych łąkach, i rzadko kiedy spotkać tu można dzikie zwierzęta tak rozmnożone w Afryce. Mieszkańcy odznaczają się smętną powagą, lubią poezję i smutne melodje; nie są tak ochoczy jak mieszkańcy równin, ale daleko wytrwalsi w pracy, w trudach wojennych. Władza rodcicielska w wielkiem u nich jest poszanowaniu, i rzecz szczególna, rzadko dająca się napotkać wśród nieucywilizowanych ludów, kobieta ważne tu w rodzinie zajmuje stanowisko. Fakt ten zawdzięczyć należy szczęśliwemu wpływowi chrystjanizmu, który już w czwartym wieku znany był w tych okolicach, a nawet Etyopejczykowie historyczny swój początek wywodzą z Judei, i samą nazwę Etyopji odnoszą do kilku ustępów textu Biblji.

Jak powierzchnia i roślinność tak i ludność Kuatlasu różni się bardzo od mieszkańców Deugasu. Wszystko tu wpada w ostateczność: dnie są nadzwyczaj gorące, noce bardzo zimne. Często bardzo wicher szaleje dmąc strasznym wirem, a wyschła ziemia w niezliczone rozpada się szczeliny. Z początkiem wiosny roztacza się bujna i świetna zieloność, ale piękność jéj prędko przemija, więdnie i żółtawą przybiera barwę. Tu i owdzie w pośród wiosek wznoszą się olbrzymie drzewa, ale pożółkłe ich liście nie nęcą oka; z początkiem wiosny puszcza bujna i gęsta trawa, tak wysoka że człowiek siedzący na koniu z łatwością ukryć się w niéj może, ale w lecie usycha i zapala się od najmniejszéj iskry. Ogień taki udziela się szybko innym roślinom i drzewom i olbrzymim posuwając się krokiem, niszczy gadziny i dzikie zwierzęta nadzwyczaj liczne w téj okolicy. Zdawałoby się że przekleństwo jakieś ciąży nad tą nieszczęsną krainą. Wyziewy wód płynących w dolinach sprowadzają różne choroby; trzody nie mają tu dostatecznego pożywienia, bo pojawiające się tu i owdzie rośliny są po większéj części cierniste; koni wcale trzymać nie można, a w pieczarach i rozpadlinach skał kryją się całe gromady hyen.

Pomimo tego jednak mieszkańcy tych okolic są daleko weselsi, żywsi, czynniejsi i wydają się szczęśliwsi niż lud zamieszkujący wyższe krainy, którym przyroda tak hojnie swoich udzieliła darów. Lubią taniec i muzykę, mówią głośno i prędko; temperament ich jest tak żywy iż często unoszą się gniewem, a przechodząc z jednéj ostateczności w drugą, często ze zbytniéj żywości wpadają w odrętwiałą obojętność. Kobiety są ładne i pięknie zbudowane, odznaczają się wdziękiem ruchów i uroczym wyrazem oczu, co wszystko łatwo tłómaczy szaloną zazdrość ich mężów. Umieją one z niewysłowionym wdziękiem drapować na sobie ów wielki kawał materji stanowiący główną część ubrania tak mężczyzn jak kobiet, tylko że bogatsi noszą jedwabne, ubożsi białe bawełniane. Jest to coś podobnego do starożytnéj togi rzymskiéj, a sposób jéj ułożenia oznacza uszanowanie dla osób wyższych, strój wojenny, żałobę i różne przygody życia.

Czytając dzieło p. d'Abbadie przekonywamy się, że na całéj powierzchni kuli ziemskiéj jednakie okoliczności jednakie wywołują skutki. bo i w tych tak oddalonych krainach nagromadzenie wielkich miast, wytwarza w mieszkańcach też same wady i przywary, jakie napotykamy często w wielkich środkowych punktach naszych ucywilizowanych krajów.

W Etjopji miasta zakładane były głównie w Woina-Dugas, tak z powodu umiarkowańszego klimatu jakoteż połączonéj tu szczęśliwie roślinności wyższych i niższych krain. Krajowcy nie mają zamiłowania w rolnictwie, wolą zajmować się rzemiosłami i handlem; są lekkomyślni i szyderscy i nie zalecają się bynajmniéj mocą przekonań religijnych lub politycznych ani też gościnnością. Jednak obok tych wad mają pewne przymioty a mianowicie dowcip, lubią poezję i piękne wysłowienie.

Tu i owdzie podróżnik nasz napotykał wspaniałe krajobrazy; już to strome góry już znów niezmierzone okiem zielone równiny. Z ognisk życia i ruchu, bez żadnego niemal przejścia, dostaje się w rozległe puszcze, w których człowiek zdaje się zrywać wszelkie stosunki z zamieszkanym światem. Jak między okolicami, tak i między krajowcami równie rażące zachodzą różnice; niektórzy wyznają islamizm, inni są bałwochwalcami, a tu i owdzie po dziś dzień widać że kiedyś istniało tu wielkie państwo chrześciańskie, i z niewymownem zdziwieniem obok dzikiego barbarzyństwa, spotykamy się z cywilizacją bardzo zbliżoną do europejskiéj.

Cała Abisynja jest zamieszkała przez najróżnorodniejsze plemiona, których początek i pochodzenie niemal ginie w pomroce wieków. Etyopejczykowie, po większéj części, pochodzą z rassy czerwonéj, zaś pokolenie Gonnigas z murzyńskiéj. Nubja zamieszkała jest przez lud pochodzenia arabskiego. Ta różnorodna mięszanina języków i djalektów, wzajemna niechęć licznych panujących książątek tak odmiennie urządzających swoje państewka, jakoteż zbieranina najsprzeczniejszych wyznań, bardzo utrudnia poznanie granic, obyczajów i zwyczajów mieszkańców.

Panu d'Abbadie towarzyszył brat jego odbywający tę podróż w celu naukowym, jakiś Anglik który zrażony pierwszemi napotkanemi niebezpieczeństwami, niezadługo opuścił współtowarzyszy i został muzułmanem, i nareszcie młody zakonnik ze zgromadzenia Lazarystów w Syrji. Podróżował on w celu założenia zakonu swojéj reguły w tych właśnie okolicach, gdzie chrystjanizm najsrożéj był prześladowany, i dzięki nieograniczonemu poświęceniu i zaparciu siebie oraz gorliwéj pomocy p. d'Abbadie, zamiar swój przywiódł do skutku. Wielki urok dzieła p. d'Abbadie stanowią rozliczne przygody dowodzące rzadkiéj odwagi których mimowolnym był bohaterem, opisywane z niewysłowioną skromnością i prostotą, jakby tylko w celu zbudzenia współczucia czytelników, dla tych co gościnnie przyjmowali go w swoich progach, i złożyli dowody współczucia i prawości. Podróż tę odbywali z jednym tylko służącym, który miał odwagę im towarzyszyć, walcząc z najróżnorodniejszemi niebezpieczeństwami, niewygodą i brakiem żywności. Poprzestając często na suchym chlebie przez siebie pieczonym, dopiero minąwszy Adwa, dostali nareszcie tragarzy a co ważniejsza, drogmana. Przedewszystkiem baczyć musieli, aby ich nie brano za handlarzy niewolników, ponieważ handel ten jest nadzwyczaj potępiany przez Etyopejczyków; daléj starać się musieli o wzbudzanie przyjaznego wrażenia w mieszkańcach a szczególniéj o względy ich władców, których opieki i pomocy tak często potrzebowali.

Młody missjonarz pozostał w Adwa aby tam uczyć się krajowego języka, zaś p. d'Abbadie wraz z bratem przybyli do okręgu Tegrai, należącego lennem prawem do wodza nazwiskiem Gabraï, wassala księcia Kassa. Gdy odmówili zapłaty podatku, który tylko od handlarzy ściągać wolno, zostali aresztowani przez wieśniaków, obowiązanych strzedz ich pod własną odpowiedzialnością. Podróżni nasi oznajmili, że ponieważ nieprawnie ich zatrzymano, do chwili zatem uwolnienia żadnego nie przyjmą pokarmu. Tak minęło kilka godzin, wieczór nadchodził, poczciwi wieśniacy zaczęli lękać się o zdrowie swych jeńców, i niemało nałamali sobie głowy jakby pogodzić obowiązki względem swego władcy z prawami ludzkości, i oto co wymyślili. Zaczęli robić przygotowania jakby do długiego marszu, nareszcie zabrawszy podróżnych ruszyli w drogę; tak uszli z jakie sto kroków, i zatrzymując się nagle, jeden Etyopejczyk rzekł im: Teraz już możecie jeść, ponieważ zmieniliśmy obozowisko, a z resztą wszak sami wiecie że nie możemy was uwolnić, dopókąd nie porozumiecie się z naszym władzcą. „Czyliż mówi autor, mniemane to ustępstwo nie dowodzi wielkiéj dobroci i współczucia tych prostych wieśniaków?

Wypuszczeni, nie długo cieszyli się wolnością, i znowu zostali pojmani przez tegoż samego naczelnika. Wtedy postanowili udać się pod opiekę księcia Oubié, którego przychylności już doświadczyli. Ale jak się do niego dostać? Otóż korzystając z cieniów nocy, p. Arnauld d'Abbadie wymknął się z namiotu wraz z młodym jakimś Etyopejczykiem który go bardzo polubił. Pomimo licznie rozstawionych straży zaczęli uciekać z wioski, i nareszcie dostali się na niezmierną równinę pełną dzikich zwierząt, włóczęgów i ciernistych roślin, wśród których z trudnością przesuwać się mogli. Nareszcie nadedniem dostali się do granicy księcia Ubie, tu, zapominając o wszystkiem, podróżnik nasz wdrapał się na stromą górę, aby się rozejrzeć w roztaczającym się w około uroczym krajobrazie. Doprawdy trzeba podziwiać zimną krew człowieka, co zaledwie uniknąwszy tylu niebezpieczeństw, najspokojniéj w świecie rozgląda się w okolicy, któréj drobiazgowy prawie podaje opis.

Xiąże Ubié łaskawie przyjął cudzoziemca i zaraz dał mu kilku żołnierzy i 30 tragarzy z którymi podążył wyzwolić brata; lecz tenże potrafił już wymknąć się z więzienia, spotkali się więc w drodze i już razem podążali do Adwa, gdzie mieli wypocząć i ułożyć plan dalszéj podróży.

Pragnąc raz jeszcze odwiedzić księcia Ubie, p. d'Abbadie udał się wraz z drogomanem swoim do jego obozu, leżącego o kilka kilometrów od miasta. Kiedy przybył do namiotu księcia, stojący przed nim strażnik szablą zagrodził mu wejście; nie wiele myśląc odepchnął go i wszedł; zuchwały ten krok tak wielkie w obecnych wywołał oburzenie, iż sprawca mocno się zaniepokoił. Wpuszczono go do namiotu gdzie miało się odbywać jakieś sądowe posiedzenie, którego miał być świadkiem. Sąd odbywał się bardzo uroczyście, poważniéj może niż nie w jednym ucywilizowanym kraju, i tylko postępowanie samego książątka wyrokującego w ostatniéj instancji, odznaczało się wyraźnym despotyzmem. Po skończonéj sessji p. d'Abbadie dowiedział się od swego drogmana iż to jego własną sądzono sprawę, i że gdyby nie łaskawość księcia, byłby został na straszną skazany karę, dodając że gdy raz jeden z miejscowych naczelników, podobnéj dopuścił się winy, któréj nie mógł tłumaczyć nie-

---

(¹) Douze ans de séjour dans la haute Éthiopie, p. Arnauld d'Abbadie Tome 1er Edit: Hoclette.

wiadomością, wydano wyrok aby mu uciąć rękę wykonano go niezwłocznie.

W kilka dni późniéj, już łącznie z bratem udał się do Gondar. Miasto to pełne zwalisk, ma swoją odrębną cechę i miłym powabem nęci oko. Obok niskich w uroczym nieładzie porozrucanych domków, sięgają tu w niebo liczne wieżyce kościołów, otoczonych drzewami. Mieszkańcy są gorliwymi katolikami, z brzaskiem jutrzenki udają się na nabożeństwo, poczem miasto całe zaczyna wrzeć życiem i gwarem; kupcy biegają za interesami, dzieci dążą do szkoły, zakonnicy kwestują po ulicach, księża w białych na głowie zawojach, spieszą do swoich kościołów. Miasto Gondar leży w niewielkiéj odległości od całkiem jeszcze nie znanych wówczas okolic wyższéj Etyjopji, i dla tego p. d'Abbadie obrał je za środkowy punkt do swoich wycieczek. Zamieszkali w domu niejakiego Atsku, *likaontesa* czyli sędziego cesarskiego, słynącego z przychylności dla rzadko pojawiających się w Gondar Europejczyków, ale niezadługo p. Arnauld d'Abbadie sam jeden pozostał, gdyż brat jego powrócił do Francji, aby sprowadzić narzędzia potrzebne do zdjęcia dokładnéj mappy Etyopji. Przyrzekli sobie że za rok obaj przybędą na wyspę Mussawę.

Od téj chwili podróżnik nasz coraz z większem współczuciem wyraża się o kraju i jego mieszkańcach; zaczyna powoli uczyć się ich języka, a nawet naśladować ubiór. Najpierw zaczął nosić togę, co bardzo ujęło krajowców, a nadto chcąc uzyskać większą jeszcze swobodę działania, posłuchał rady *Lika* Atsku, i postanowił w jego towarzystwie złożyć swe uszanowanie *Ras'owi*, który to stopień według niego, odpowiada godności wielkiego konnetabla. Młody, dwudziesto-dwu letni *Ras* Ali, zarządzał wielką prowincją Begamdir do któréj należało miasto Gondar, a lennikami jego było kilku wojennych dowódców zwanych *Dedjazmatch*, którzy także pewną posiadali władzę. Rezydował on w Dobra-Tobor, wraz z matką swoją Waiżoro, co znaczy potomkiem cesarskiéj rodziny. W razie potrzeby, dwie te znakomitości, mogło zebrać armię liczącą około 140,000 ludzi. *Ras* Ali zamieszkiwał w obozie rozłożonym w pięknéj i zdrowéj miejscowości; tu najsprzeczniejsze widoki przedstawiały się oczom. Tu i owdzie wodzowie dumnéj postawy obok uciesznych trefnisiów; tysiące ludzi składających przyboczną służbę, biegało tam i napowrót w pośród prawdziwego labiryntu chatek; tu znów żołnierze, stanowiący rodzaj paziów wszędzie towarzyszących swemu księciu, przy stole, w kościele, w marszu, na wojnie, posiadający szczególne jego zaufanie i odbierający najtajniejsze zwierzenia, pysznili się chełpliwie swoim jaskrawym strojem. To znów nastręczały się oczom piękne rumaki, przystrojone w kraśne barwy i bogate rzędy; liczni żebracy błąkali się tu i owdzie; strażnicy strzegli drzwi swego pana i władcy. Nie mogąc zwrócić na siebie uwagi strażników stojących przy książęcym namiocie, p. d'Abbadie i przyjaciel jego *Lik* Atsku, postanowili udać się do matki *Ras* Alego, *Waiżoro-Manann* mieszkającéj w pobliżu.

Dom jéj nie był okazałym. Całą zewnętrzną jego architekturę stanowił wielki dach słomiany, wsparty na wysokim na trzy metry wale, usypanym z ziemi, który podtrzymywały wewnątrz pnie drzew, wkopane o dwa metry od wału. Dwoje drzwi przeciwległych wpuszczały światło; okien nie było. Drzwi stanowiące główne wejście, zasłonięte były starym żołnierskim płaszczem, a po za niemi stało nieruchomie czterech czy pięciu młodzieńców, wspartych o pnie drzewne. Najpierw wszedł tylko sam Atsku, ale niebawem wprowadzono i p. d'Abbadie.

Wszedłszy, złożył głęboki ukłon, na który odpowiedział tylko silny głos wychodzący z po za firanki. Usiadł po turecku na macie i tak czas jakiś słuchał bardzo ożywionéj rozmowy księżnéj i swego starego przyjaciela. Chwilami dochodziły go wybuchy śmiechu księżnéj pani; nareszcie wezwała go do siebie. Przestraszna karlica podniosła zasłonę i poprowadziła go do swéj pani. *Waiżoro* siedziała na kobiercu anatolskim, wsparta o czerwone poduszki; twarz miała piękną, wyjąwszy ust, które też ciągle prawie zasłaniała. Ujrzawszy naszego podróżnika, nie posiadała się z zadziwienia że wytrzymał trudy podróży, i powiedziała *Lik'owi* Atsku, który służył za tłumacza, że podobni ludzie powinniby jak masło roztapiać się na słońcu. Atsku pragnął wykazać jéj wyższość Europejczyków, ale cała jego erudycja i wymowa nie zdołały tego dokazać. Rozmawiano jeszcze czas jakiś, nareszcie Waiżoro kazała jednéj ze swych służebnic, aby ich zaprowadziła do młodego księcia.

Tu znów sam tylko p. d'Abbadie został przyjęty. *Ras* Ali otoczony dwudziestu ulubieńcami, stał na środku dużego pokoju, zasłanego wonnemi kwiatami; zapytał zaraz gościa swego ile ma lat, z przyjemnością dowiedział się że w jednym byli wieku. Twarz jego zwiastowała raczéj dobrotliwość niż wielki rozum lub wojownicze skłonności; prosił uprzejmie p. d'Abbadie żeby zdjął zawój, gdyż chciał zobaczyć czy ma czerwone włosy jak inni Europejczycy, a potem ofiarował mu konie, kobietę i żołnierzy, byle tylko chciał z nim pozostać. A nie dość na tem chciał nawet podarować mu karabin który dostał z Europy, ale wówczas jeszcze p. d'Abbadie nie miał zamiaru pozostać w Etyopji.

W powrocie do Gondar Atsku dowiedział się że potężny książe Dedżadi Guoszo, sławny w całéj Etyopji ze swego wielkiego rozumu, przechodził z całem swem wojskiem i odpoczywał o dzień drogi od nich. Ucieszył się nie mało że będzie mógł zobaczyć swego przyjaciela, oraz dać poznać p. d'Abbadie znakomitego etyopijskiego męża. P. d'Abbadie zgodził się i zamiast do Gondar zawrócili się ku miejscu zwanem Wanzagne, gdzie książe się znajdował. Zbliżając się do obozu odbyli ablucje i zmienili ubranie. Przybywszy, Atsku sam udał się do księcia, a p. d'Abbadie stanął na uboczu, ale wkrótce lud i żołnierze wiedzieni ciekawością tak się cisnąć w koło niego zaczęli, iż ledwie go nie udusili. Wtem wystąpiła dziewczyna miedzianéj cery, z włosami upomadowanemi masłem, przysunęła się do niego i zarzuciwszy płaszcz na głowę dla uchronienia się od uroku, zaczęła łajać tłum za takie złe postępowanie z cudzoziemcem. Za chwilę przybyli strażnicy księcia, i wyzwolili p. d'Abbadie, batem rozpędzając ciekawych. Pierwszy intendent poprowadził go do przeznaczonego dlań namiotu, i ofiarował mu w podarunku rogi napełnione winem. Wino tu jest bardzo drogie, gdyż nieustanne wojny sprzeciwiają się uprawie winnic; to też Etyopijczykowie piją go bardzo rzadko, i zastępują miodem. Nazajutrz książe przyzwał do siebie p. d'Abbadie, i podróżnik tak opisuje doznane wrażenia i wpływ jaki przyjęcie to wywarło na dalszy jego pobyt w tym kraju.

„Podłoga zasłana była trzciną i wonnemi kwiatami, w pośrodku rozciągnięta była wielka biała, czarno nakrapiana skóra wołowa, na któréj Dedżazmatch na wpół leżał wsparty o szkarłatną poduszkę i rozmawiał z *Likiem* siedzącym po turecku na podobnymże kobiercu. Tuż obok stało dwóch ładnych kilkonasto-letnich paziów; zarzucona fałda togi zasłaniała im usta, w ręku trzymali oganiaczki od much, bacząc na najmniejsze skinienie swego pana. Po za księciem stał duży słup pełen haków, na których zawieszone były: tarcza pokryta srebrną wyzłacaną blachą i przyozdobiona lwią grzywą, szpada, pocisk, naramiennik złoty i róg z którego pijał. Na drugim słupie wisiał misternie rzeźbiony pulpit do mszału, i dwa futerały obejmujące psalmy i Ewangelje, zastępujące Etyopijczykom książki do nabożeństwa. Błękitny odblask namiotu do którego przedzierało się słońce, zieloność murawy, białe czarno nakrapiano skóry i śnieżna barwa togi księcia, połysk broni, wspaniała postawa władcy, nieśmiałe i ciekawe spojrzenia otaczających, a nareszcie poczciwy mój *Lik* w swoim ogromnym zawoju, który spuściwszy oczy wyczekiwał jakie wrażenie zrobię na księciu, wszystko to razem składało poważną całość pełną wdzięku, świeżości i epicznéj poezji. Xiąże powitał mnie ukłonem i dał znak abym usiadł obok *Lika*. Wprowadzono mego drogmana.

Witaj w namiocie moim, rzekł wtedy; powiadano mi że ludzie twego kraju z chęcią puszczają się w odległe świata strony, wiedzeni ciekawością poznania nieznanych krain, ale wierzaj mi ciekawość wasza nie może dorównać téj z jaką my spoglądamy ujrzawszy wpośród nas dziecię téj Jerozolimy, któréj ziemi Chrystus, Pan nasz, dotykał swojemi stopami. Niech cię więc nie obraża natarczywa ciekawość moich żołnierzy, bo ona bynajmniéj ci nie ubliża. Dziękuję Bogu że kroki twoje w nasze skierował strony".

(d. c. n.)

PRZYCZYNKI

DO HISTORJI LITERATURY POWSZECHNEJ.

Wilhelm Wachsmuth i Fryderyk Rückert.

Dwaj mężowie, dwie znak omitości umysłowe, dwa twórcze duchy w krótkim przeciągu czasu, jeden po drugim, pożegnali ten świat i swoją rodzinną ziemię: Niemcy. *Wilhelm* Wachsmuth umarł jako professor uniwersytetu w Lipsku 23 Stycznia, a Fryderyk Rückert 31 Stycznia 1866 roku w majątku swoim Neusen niedaleko Koburga. Pierwszy był niepospolitym historykiem i badaczem starożytności, drugi wielkim patriotycznym poetą i znakomitym znawcą europejskich i wschodnich języków. Dzieła Wachsmutha mają tak wielkie znaczenie w nauce, że są nieodwołalnie źródłowemi, bo rozstrzygają stanowczo liczne kwestje tyczące się historji i starożytności. Rückert znowu jest największym poetą i śpiewakiem owéj wojny wyswobodzenia w r. 1813; owéj walki Niemiec z korsykańskim olbrzymem. Do tego jeszcze znał wybornie obce poetyczne utwory i prześlicznie je na niemiecki język przekładał. Oba należeli do epoki już minionéj, bo oba urodzili się w przeszłym stuleciu, Wachsmuth 28 Grudnia 1784 w Hildeshejm, a Rückert 16 Maja 1788 r. w Schweinfurcie. Oba chociaż starcy, nie byli ani na chwilę zapomniani przez swych ziomków; stratę ich mocno uczuła cała Germanja, bo zna się i umie cenić swoich duchowych pracowników.

Podaję naszym czytelnikom biografję tych dwóch wielkich ludzi, wymienię przytem najważniejsze ich dzieła, żeby rodaków moich zapoznać z temi i z innemi znakomitościami niemieckiemi na polu nauki, które w swoim kraju zajmują pierwszorzędne stanowisko, mają na świecie głośne imię, a Polacy sąsiedzi tyle o nich wiedzą co o żelaznym wilku. Ryczałtem pijemy prace francuzkie, znamy dobrze naukowych mężów a jeszcze lepiéj powieściopisarzy i drammaturgów francuzkich, dla tego to przyczepiło się do nas roztrzepanie i politura tylko naukowa i społeczna, ale nie ma gruntownéj wiedzy.

Rzadko kto uczy się i czyta po niemiecku lub po angielsku. Któż z nas zna Hejnego, Bornego, Gerwinusa, Tearbacha, Scherra? Jeden na tysiąc.

Fryderyk Rückert był synem zamożnego bawarskiego urzędnika. Po ukończeniu gimnazjum w rodzinnem mieście, stosując się do życzenia rodziców, wszedł do uniwersytetu w Jenie na wydział prawny i już w roku 1811 był tam priwat-docentem. Ale wrodzone skłonności gdzieindziéj go popychały: ku poezji i nauce języków.

Kiedy wybuchła wojna wyswobodzenia w roku 1813, wydał pod nazwiskiem Frejmunda Rejmara owe sławne sonety: *Die Gecharnischten sonetten*.

Obok tych energicznych pieśni, nie bardzo jest przyjemnie czytać owe przesadne pochwały Blüchera i szorstko jadowite napady na Napoleona, już po jego upadku na niego wymierzone. Sam Rückert gorzko żałował tych słów, skoro ujrzał że całe wysilenie patrjotyczne Niemiec, całą ich energię czynną tak marnie zużyto.

W roku 1816 wydawał *Gazetę Poranną* w Sztutgardzie, ale wkrótce porzucił politykę skoro zobaczył jak na złe użyto narodowych usiłowań, w których sam nie mały miał udział.

Od roku 1826 do roku 1841 wykładał literaturę wschodnią w Erlangen. W r. 1841 król pruski mianował go tajnym radcą i wezwał go do berlińskiego uniwersytetu. Ale południowemu niemcowi nudno było w północnych Atenach, o których Hejne powiedział: „że mają dużo gęstego piasku, dużo gęstego piwa i dużo dowcipnych ludzi, kiedy mogą zrozumieć Hegla". Opuścił wkrótce Berlin i pojechał do Włoch, żeby poznać dokładnie włoskich ludowych poetów. Od roku 1849 zamknął się w swem majątku niedaleko Koburga, gdzie żył cicho i prawie odludnie, bo się wielce zagniewał na bieg wypadków w swojéj ojczyznie, który tak bardzo zawiódł jego oczekiwania. W ostatniéj wojnie szleswicko-holsztyńskiéj, ostatni raz wystąpił ze swojemi wojennemi hymnami. Nie czytałem ich i nie wiem w jakim stosunku stają do tamtych najeżonych sonetów. Krytycy niemieccy utrzymują, że w hymnach tych, przez starca wyśpiewanych, czuć dawną młodzieńczą siłę.

Pomiędzy oryginalnemi utworami Rückerta ważniéjsze są: *Napoleon, Grono Czasu, Najeżone sonety Amarillis, Wiosna miłości, Brylant i Perła. Mądrość Braminów* i najpiękniejszy w nowożytnéj literaturze poemat dydaktyczny: *Umierający kwiat.*

Tłomaczenia jego obcych poetycznych utworów są prześliczne. Z chińskiego przełożył księgę *Szy-King*; z indyjskiego *Nal i Damajanti*, oraz opowiadania bramińskie, z perskiego *Wschodnie Róże* pełne gorących pocałunków; z arabskiego poezje Amrilkaisa, Hasama, Abu-Seida Haririego i t. d.

Scherr powiada o nim. „Rückert umie się wtajemniczać we wszystkie formy i rytmy. Starożytna muza elegii prowadzi go za rękę w jego ślicznéj elegii p .t. Rodak; metodyjny zaś dźwięk Minezengerów przebiega po jego harfie, kiedy miłość opiewa. A miłość opiewa on wszędzie i zawsze: przez prizmat miłości widzi świat ,który bez miłości byłby straszną ciemnością jak powiada. Na wszystkich wysokościach i we wszzstkich głębokościach, na ziemi i na morzu, we wszystkich przemianach zwierzęcego i roślinnego życia, we wszystkich przemianach ludzkiego życia słowem w całéj naturze, uważa miłość za prawo naturalne i za takie je ogłasza".

Dodaje w końcu ze Rückert puszczał się także na pole dramatyczne, ale jego utwory w tym rodzaju: *Saul i Dawid, Herod, Henryk IV* i *Kolumb* nie bardzo mu się udały.

Wilhelm Wachsmuth inną poszedł drogą. Ojciec jego, miejski chirurg, nie był wcale zamożnym tak jak ojciec Rückerta, to też i syn nie mógł zapędzać się w poetyczne marzenia; musiał uczyć się dla powszedniego chleba. Mając zaledwie piętnaście lat, już sam na swoje utrzymanie zarabiał. W r: 1803 udał się do uniwersytetu w Jena i tu jako ubogi człowiek poświęcił się teologii, bo całem jego marzeniem na przyszłość była posada pastora. Znalazł jednak sobie życzliwego doradcę i opiekuna w osobie professora Eberharda który go namówił do pracowania nad językami i naukami pięknemi, inaczéj mówiąc żeby sobie obrał zawód nauczycielski, najpiękniejszy, ale najcięższy zarazem! Jakoż po ukończeniu kursów uniwersyteckich mianowany został nauczycielem w klasztorze żeńskim w Magdeburgu; ztąd przeniósł się na nauczyciela do gimnazjum w Zerbst a w r. 1815 na nauczyciela do szkoły łacińskiéj w Halli: Tutaj otrzymał stopień privat-docenta i czytał publiczne prelekcje o językach dla obojéj płci. W r. 1816 zaczął wydawać znane dobrze pismo periodyczne: *Atheneum* i tym sposobem wszedł w bliższe stosunki osobiste i listowne, nie tylko z niemieckiemi ale i zagranicznymi uczonemi.

W Magdeburgu mieszkał, wygnany z kraju swojego, sławny minister Carnot. Poznał się z nim Wachsmuth i korzystając z jego opowiadań i różnych drukowanych i nie drukowanych materiałów, porobił duże studja nad Rewolucją Francuzką, które późniéj wypowiedział w publicznych prelekcjach.

W r. 1819 wydał przeciw Niheburowi *Starożytną Historję Rzymu.* Prelekcje i to dzieło zrobiło go głośnym w uczonym świecie, to też wezwany został w r; 1813 na professora do uniwersytetu w Kiel, a król duński wyznaczył mu fundusz do odbycia podróży po całych Niemczech. Z powodu interesów familijnych musiał wrócić do Niemiec, został mianowany professorem historji przy uniwersytecie w Lipsku i zajmował tę katedrę aż do śmierci.

Ważniejsze jego dzieła są następujące: *Prelekcje* Publiczne, — Starożytności Greckie, — Historja Obyczajów w Europie 5 części, — Historyczne obrazy z XVI, XVII i XVIII wieku 3 części. — Historja Francji w czasie Rewolucji, ktorą potem przerobił na nowo, poznawszy się w Paryżu w r. 1841 z takimi uczonemi jak Mignet, Royer-Colard, Teuillet de Conches, Chateaubriand, Guizot a podobno najwięcéj zajęła go znajomość z siostrzenicą, Robespierra, panią La Kanal.

Daléj idą: Historja Cywilizacji 3 części — Historja politycznych Stronnictw 3 części — Historja Niemieckiéj Narodowości 3 części i. t. d.

We wszystkich tych pracach uderza przedewszystkiem niewzruszona niczem sumienność. Wachsmuth nie pożyczał od nikogo wiedzy, wszystko sam z pierwotnych źródeł wyczerpał. Prawda że jego pogląd nie jest poglądem filozofii i polityka, ale za to prawda historyczna w szczegółach jest tak pewną i ostateczną, że odtąd każdy historyk o owych dzieł Wachsmutha będzie musiał zaglądać.

M. Gliszczyński.

Pogadanka.

Pisma perjodyczne donoszą, że na jeden z uniwersytetów w Ameryce na 214 uczniów zapisało się aż 88 panien. Stosunkiem takim przerażone prassy Europejskiego lądu, jednozgodnym chórem wydały okrzyk zadziwienia i kiwając znacząco głowami, szeptały pomiędzy sobą:

— Osiemdziesiąt osiem panien młodych a więc i ładnych, bo młodość nigdy z wdziękiem się nie rozstaje, to wystawa tylu par oczu, rączek i nóżek ponętnych, figlarnych, zdobywających czasami najwarowniejsze fortece, bo serce twardego choćby jak skała mężczyzny. W otoczeniu takiem tyle niebezpiecznem dla myśli i uwagi, ciekawiśmy jaka będzie nauka uczniów i ,jaki wykład nauczycieli, szczególniéj w chwili improwizacji, gdy rękopism na boku pozostawiony zostanie.

Obawa roztargnienia nie zupełnie bezzasadną, ale u nas nie w Ameryce. Tam wszystko inaczéj się dzieje: jak się biją to jak brytany co zjadł jeden drugiego; jak się nienawidzą to jak rycerze legendowi w każdą rocznicę walki wstający z grobu aby się znowu mordować i zabijać. Jeżeli żyją w zgodzie, to jak kochankowie: jeżeli budują koleje żelazne, to na setki mil a często na tysiące: jeżeli zaciągają długi to na miljardy: jeżeli je płacą to odrazu: jeżeli morze kłopocze to je przeleją w inne miejsce jak wodę z jednéj szklanki do drugiéj: jeżeli się uczą to wszyscy, jeżeli kobietom dają swobodę to aż do możności zrywania głów z męzkich karków, nie mających do obrony ani siły ani woli: słowem dzieją się tam rzeczy jakie nawet nie śniły się nikomu, nawet najzawołańszym filozofom całéj przeszłości i obecności.

Osiemdziesiąt więc osiem młodych uczennic, choćby osiem tysięcy, na wykładach uniwersyteckich w Ameryce nie zakłopoczą ani studentów ani nauczycieli. W obec powagi nauki, w obec pojęcia jéj znaczenia i korzyści, w obec potęgi jaką daje, wszelkie inne względy w mgłę się tam rozwieją i słuchacze w auli będą tylko uczącą się młodzieżą, po za obrębem jéj przypominającą sobie dopiero że ludźmi być nie przestali.

W jednym opisie francuzkiego podróżnika po Stanach Zjednoczonych, ta ekscentryczność ducha ich mieszkańców wybornie została odmalowaną.

Pali się — powiada ów podróżnik — i wszystko biegnie na łeb na szyję za strażą ogniową lecącą jak szatany na miejsce pożaru. Uśmiechnąłem się z gawiedzi i zatrzymałem na boku, aby nie być co chwila potrącanym.

— Dla czego nie biegniesz z drugiemi? — zapytano z pewną natarczywością.

— A po co?

— Ratować nieszczęśliwych niszczonych strasznym żywiołem.

— To straży ogniowéj a nie mój obowiązek.

— I twój także, bo straż, może potrzebować pomocy. Daléj próżniaku w drogę!

— U nas w Paryżu nie zmuszają do tego.

— Ruszaj, ruszaj — wołano dokoła — bo cię zmuszą bez względu zkąd pochodzisz.

— A któż będzie tak śmiałym?

— Opinja publiczna — zawołano i ozwał się jednocześnie śmiech szyderczy, wzgardliwy, wytykano mnie palcami, potrącano, popychano, że rad nie rad wziąłem nogi zapas i w godzinę potem pompowałem w sikawce w najlepsze, wraz z jakimś bluzowym rzemieślnikiem i bankierem u którego wczoraj wymieniałem weksle na pieniądze.

— Szkaradna droga! — rzekłem raz do dzierżawcy rolnika przyjęty gościnnie w jego domku wiejskim.

— Gdzie? — zapytał robiąc wielkie oczy.

— Dojeżdżając do grobli pod lasem, a most na niéj ze złamaną poręczą i z dylem spróchniałym gnącym się jak słomka.

— To nie moje na szczęście terytorjum — odezwał się wzdychając z pewną swobodą jakby mu wielki ciężar spadł z serca — to sąsiad mój taki niedbaluch, ale jutro wszystko będzie naprawione.

— Zkądże taka pewność kiedy to nie twoja droga? zapytałem. Czy miejscowa władza zmusi go do tego nakazem.

— U nas władza nie wdaje się w takie rzeczy, wprawdzie skłoni go do tego mus ale nie nakaz.

— A któż będzie tym motorem musu?

— Opinja publiczna.

Uśmiechnąłem się.

— U nas we Francji — rzekłem — często egzekucja nie chroni od łamania karku szczególniéj na drogach bocznych, a opinja pod tym względem nie ma żadnego znaczenia.

— To u was, ale nie u nas — odrzekł spokojnie dzierżawca i podszedłszy do biórka, napisał małą karteczkę, w któréj pomieścił tylko tych słów kilka:

Panie sąsiedzie! — droga i most na grobli pod lasem złe, trzeba je naprawić.

W pięć minut potem posłaniec z kartką już był w drodze, a dzierżawca jakby o rzeczy najzwyczajniejszéj że np. słońce wschodzi i zachodzi, rzekł:

— Jutro już nie będziesz narzekał, bo wszystko pod lasem będzie w porządku.

I stało się tak jak powiedział. Na drugi dzień umyślnie rano poszedłem i widziałem jak ostatnią już taczkę ziemi wysypano w wybój najgłębszy, a ów sąsiad z wielkim świdrem i dwoma parobkami z toporami, wracał od mostu najtroskliwiéj naprawionego.

Przy wieczerzy mówiąc o gospodarstwie, dzierżawca narzekał jako człowiek bardzo rachunkowy, że mu dziewki i parobcy za wiele trawią czasu nad nauką w miejscowéj szkole.

— Gdybyć to tylko w szkole — mówił daléj — byłoby pół biedy, ale mój owczarz, i dwie dziewki kuchenne, oszczędzają aż do przesady zarobione pieniądze. Na kupno jednak książek rozmaitych sypią groszem z rozrzutnością największego bogacza i utworzywszy nawet mały księgozbiór, pożyczają sobie wzajemnie każdą wolną chwilę poświęcając czytaniu.

— Zapewne więc opuszczają się w obowiązkach — zrobiłem uwagę.

— Ale gdzie tam! są jak najlepszemi, robią wszystko piorunem, dokładnie, bez poprawek i to mnie gniewa. Gdyby bowiem czas co zdobywają pośpiechem, mnie poświęcili, możesz łatwo osądzić ilebym zyskał na tem. Inni pod tym względem lepsi są, bo cały ich czas jest moim czasem, u tych przeciwnie tylko ten co go zmuszeni są oddać mi kontraktem. Że zaś wszystko robią prędko więc zrobiwszy swoje zabierają się do książek, choć widzą nas w nieustannéj pracy i krzątaniu się.

— To weź innych, u nas we Francji zapalonych do nauki nie przyjmują do żadnych prac rolnych.

— To u was, u nas inaczéj. Choć nie chcę mu szę ich trzymać.

— Któż cię może zmusić do tego?

— Kto? — Opinja publiczna.

— A to tyran szkaradny! — zawołałem z zapałem — ta wasza opinja publiczna, to gorszy despota jak królikowie środkowéj Afryki! — Oparłbym się jéj...

— To byś zginął — odrzekł spokojnie dzierżawca.

— Nie! nie zginąłbym — rzekłem z ogniem — dałbym przykład dla drugich...

— Niktby cię nie naśladował.

— No, to choć jeden jeżeli nie wielu.

— Ani jeden, ani połówka.

— Jeżeli nie dziś, to jutro, to za rok.

— Ani za sto lat, ani za tysiąc wieków.

— Choćby i tak, tobym i tak nie zginął.

— Zginąłbyś bez nadziei powstania.

— A to jakim sposobem?

— Opuściłaby cię cała służba folwarczna, żaden najemnik nie przyszedłby na twoje pole choćbyś mu złote góry ofiarował: niktby ci nie podał ręki, nikt i słowa nie zagadał, byłbyś jak w pustyni lub w lesie nie wiedząc gdzie się obrócić: nikt na ciebie by nie patrzył, nikt nie słuchał:

— To czysta klątwa średniowiecznych czasów! — zawołałem kręcąc się jak oparzony.

— Taki zwyczaj — odrzekł dzierżawca podnosząc ramiona — więc sprzeciwiać się nauce?

Dzierżawca ów choć zamożny, sam jednak jak było tylko potrzeba, zajmował się pracą rolną razem z żoną i trzema swemi córkami. Był to jednak człowiek co do swego fachu bardzo wykształcony. W bawialni w szafce za szkłem, mieścił się znaczny zbiór książek saméj poświęcony agronomji, a codzień lub tygodniowo odbierał kilka pism politycznych, beletrystycznych i rolnych, na których znać było że się ich dotykał swoją spracowaną ręką, że je nie trzymał tylko na okaz, ale że z nich korzystał jak to mówią czytając od deski do deski. Córki z żoną nie zalegały także pola, miały znów swoją bibljoteczkę i swoje pisma perjodyczne, dotyczące przemysłu wiejskiego we wszystkich jego gałęziach. Zajmowały się też nim z wielką pilnością; ogród, chlewy, obora, kurniki, len, nabiał, pszczoły, prowadzone same przez siebie, niezależnie zupełnie od gospodarstwa folwarcznego, sypały im obfite dolary i stanowiły odrębną część pracy, do któréj sam dzierżawca nie śmiał się nawet dotknąć. Kiedym mu okazał pod tym względem pewne zdziwienie, rzekł:

— To u nas jest pospolite. Ja pilnuję roli, a kobiety moje przemysłu, ale mi za wszystko płacą co tylko biorą z folwarku, — nawet za obory, chlewy, kurniki i izby do tego konieczne.

Ja im znowu płacę za wszystko co od nich biorę dla folwarku, z wyłączeniem przedmiotów na codzienny pokarm dla całéj rodziny przeznaczony. Tu rządzimy się bez żadnego rachunku, i ja daję chleb i mięso, a one okrasę i przędziwo. Korzystny to niezmiernie podział pracy, wspólnie pomnażamy mienie, ale swego muszę przestrzegać, bo to należeć będzie i do nich i do syna, więc ustępstwami dla nich, syna krzywdzić nie mogę. Z początku musiałem wydawać na ich ubranie i inne potrzeby, dziś już stoją o własnych siłach i zbierają nawet oszczędności, co je przy nabieraniu coraz większych wiadomości i doświadczeniu, obdarzy z czasem sporym kapitalikiem. Co z nim zrobią nie wiem, zapewne go użyją jako pomoc dla mężów jeżeli ich dostaną. W przeciwnym razie będą ciułać, aby w starości nie być nikomu ani zawadą ani ciężarem. Ale o to jestem spokojny, wezmą je chętnie za żony, bo każda z nich posiada dwa a nie jeden posagi, umiejętną pracę i oszczędność.....

— I ręce grube, a twarze opalone, pomyślałem, a dzierżawca jakby przeczuł myśli moje, dodał:

— Są wprawdzie spalone ale zdrowe i krzepkie, ze zdrową myślą i krzepką siłą ducha, a to u nas więcéj cenią jak gibkie i wdziękiem obdarzone postacie, nazywając je pięknym kwiatem, ale nie procentowym i niezmiernie szybko tracącym szacunkową swoją wartość.

W wigilją mego wyjazdu, kiedyśmy siedzieli przy herbacie, syn jedyny mego gospodarza młodzieniec zaledwie siedemnastoletni, wszedł nagle i rzekł:

— Kochany ojcze namyśliłem się, i jutro z panem P. tu wskazał na mnie — wyjeżdżam do New-Yorku.

— A to po co? zapytał ojciec z pewnym niepokojem.

— Muszę zacząć coś robić.

— Alboż to tu brak ci pracy?

— Praca rolna nie dla mnie, nie lubię jéj: służby publicznéj to samo, w naszéj więc stronie nie ma dla mnie interesu. W New-Yorku znajdę go.....

— A masz na to odpowiednie fundusze? — zapytał ojciec.

— Swoich własnych nie mam, ale rozmówiłem się z siostrami i te mi zapewniły pożyczkę do stu dolarów. Dziś połowę mi doręczą, resztę na pierwsze wezwanie nadeślą.....

— A kiedyż oddasz?

— Jak się dorobię.

— A jak nigdy niczego się nie dorobisz?

— To część mienia waszego mój ojcze, scheda jaka na mnie przypadnie, zapłaci dziś dług zaciągnięty.

— Czy pismem do tego się zobowiązałeś?

— Nie! — powiedziałem, czyż to nie dosyć?

— Ale jesteś małoletni — odezwałem się słuchając z wielkiem zdziwieniem całéj téj rozmowy— u nas we Francji do przyjmowania zobowiązań, koniecznie trzeba być pełnoletnim. W małoletności czynione, nie obowiązują.

— Więc u was lata — zapytał młodzieniec — upoważniają do zostania podłym szachrajem?

— Nie — tylko nie zmuszają do zwrotu długu w małoletności zaciągniętego.

— To u nas inaczéj.

— Jeżeli inaczéj, to prawo lepiéj się u nas opiekuje małoletnimi.

— Prawo i u nas jest za małoletniemi, ale nie zważamy na to i choćbym nie chciał, dług dziś zaciągnięty musiałbym zapłacić.

— A któżby cię zmusił do tego!

— Opinja publiczna!

Spoglądałem z niecierpliwością, a gospodarz rzekł:

— Opinja publiczna wtrąca się u nas tylko wtenczas w takie interesa, jeżeli te robione są z dobrą wolą i w rozumnych zamiarach jak tu na przykład. W podstępnych i krętarskich jest nieubłaganą lub zupełnie obojętną i wtenczas prawo ma moc obowiązującą. W kwestji mego syna, ja mógłbym odmówić pomocy, bo wola rodziców wyższa jest nad pragnienia dzieci; siostry lub bracia muszą, bo je znagli do tego.....

— Opinja publiczna! — dodałem zupełnie już zniecierpliwiony.

— Tak, tak, zgadłeś; każdy ma prawo rządzić swoją przyszłością, nawet młodzieniec jeszcze małoletni i każdy winien dopomagać do jéj urzeczywistnienia. My możemy nie pozwolić, nie pobłogosławić, ale nic więcéj.

— Więc syn twój pojedzie do New-Yorku?

— Zapewne: ma już fundusz.....

— I cóż tam myślisz robić? — zapytałem z pewnem szyderstwem.

— Jeszcze nie wiem — rozpatrzę się za przybyciem. Wiem tylko że ani rolnikiem ani urzędnikiem nie będę, bo nad tem myślałem rok cały. Jeżeli znajdę jakie takie zajęcie nauczycielskie, zapiszę się do uniwersytetu: jeżeli nie, to wyuczę się jakiego rzemiosła i późniéj z siostrami zawrę spółkę, to jest z funduszem przez nie uzbieranym, a może i z rodzicami jeżeli zechcą. W każdym razie muszę coś zrobić bo pracy wszędzie po uszy, tylko trzeba w niéj wybrać.

Uściskałem młodzieńca, a ojciec szepnął mi zapytanie.

— Jakże sądzisz? — czy można wyjazdowi jego sprzeciwiać się?

— Niech jedzie — odrzekłem — niech jedzie.

— I niech Bóg go błogosławi — dołożył ojciec.

Przegląd muzyczny.

MUZYKA KOŚCIELNA.

N. 11. *Modlitwa Pańska* na jeden głos (es—fes) z towarzyszeniem organu, słowa Moroza (k. 30). W tonie as. przez St. Moniuszkę i tegoż:

N. 12. *Modlitwa* w tonie G. na głos średni (fis—g) ze słowami niewymienionego autora (k. 15.) Obie te pieśni kościelne dopełniają wcale spory zbiór pieśni religijnych w stylu prawdziwie kościelnym. Nic światowéj muzyki nie przypominając, wznoszą ducha ku Bogu na skrzydłach dobrego anioła muzyki i uczą modlić się. — W ogóle styl Moniuszki kościelny, ile znamy jego dzieł też same nosi cechy piękności, podniosłości nabożnéj, jest przytem nieskalany żadnym dodatkiem światowym, co się trafia nawet genjuszom takim jak Rossini.

MUZYKA SALONOWA NA DWIE RĘCE.

J. B. M. Weniger Op. 14. *La pinnozella* (piosnka do snu dziecięcia). Dziwne monotonne wrażenie robi, ale dopina celu i na starszych wiekiem. Literalnie 60 razy na 10 kartach jest *np.* powtórzony akord pierwotny *facf*, z tego można powziąść jawne przekonanie jaką potrzebą w muzyce są dyssonanse, łagodzone konsonansami czyli zgodnościami. Muzyka bez nich staje się martwą, nudną bez interesu, nawet nie uratuje jéj melodja.

Przegląd literatury zagranicznéj.

W tych dniach wyszło dzieło pod tytułem:

Optyka i sztuki, przez Augusta Langel.

Nie można dać lepszego wyobrażenia o celu i sposobie traktowania przedmiotu, jak przytoczeniem słów samego autora ze wstępu umieszczonego na czele jego pracy.

Nie mamy innego stosunku z naturą jak tylko przez zetknięcie; wszystkie nasze wiadomości pochodzą z wrażeń, a wrażenia są, że tak powiem, tylko znakami objawiającem świat zewnętrzny.

Ciała same pozostają nam istotnie obcemi, pojmujemy czas i przestrzeń tylko przez pośrednictwo czucia, jak do czytania myśli posługujemy się wyrazami. Zetknięcia nasze ze światem zewnętrznym ograniczone są jakością i ilością zmysłów; zmysł dotykania jest środkiem bezustannym, lecz tępym i ciężkim; każda powierzchnia ciała pokrytą jest drobnemi przyrządami nerwowemi, mniéj lub więcéj skupionemi, a każde z nich to niby niewidome palce, dotkliwe na wszelkie zmiany temperatury i ciśnienia. Subtelne te znaczki sięgają w przestrzeń i badają kształty, lecz spojone są z członkami, zatem zmysł dotykania nie pozwala nam wyjść poza obręb zbyt ciasnego zakresu. Słuch także nie daleko zajść nam pozwala, gdyż zmysł ten analizuje jedynie poruszenia zdziałane w powietrzu i w ciałach w blizkości nas umieszczonych. Zmysłem najswobodniejszym, najlotniejszym, niejako najmniéj materjalnym, jest wzrok, a wszelako nie trzeba zapomnieć iż spojrzenie jest także tylko zetknięciem subtelnem, jest to podrażnienie sprawione przez światły promień na przyrząd nerwowy, obsadzony we wklęsłości ocznéj. Gwiazdy nie istniałyby dla nas gdyby nie zachodził związek pomiędzy niemi a nerwem optycznym; łącznik to wprawdzie nad wyraz cienki i nieważki, lecz zawsze fizyczny, mający kierunek pewny, wytknięty według najściślejszych prawideł.

Drgania ześrodkowane w ogniskach świetlanych stają się rzeczywiście światłem dopiero za dotknieciem organu widzenia, lecz światło wyzwala, iż tak rzekę nasze ciało od niewoli w przestrzeni. Oko jest więzieniem po za które umysł wylatuje i nurza się w nieskończonej oddali: wzrok zatem jest w całem znaczeniu tego wyrazu zmysłem idealnym, jeżeli wolno te dwa wyrażenia w porze z sobą zestawić. Jak latarnia morska szle swój słup jasny na wszystkie punkta ciemnego widnokręgu, podobnie wzrok zbacza na wszystkie strony, bada świat cały, bez wysiłku przeskakuje od najbliższych do najdalszych przedmiotów, rozróżnia zarysy, barwy, odległości, sięga w przestrzeń bezustannie.

(d. n.)

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk Karola Kowalewskiego. Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

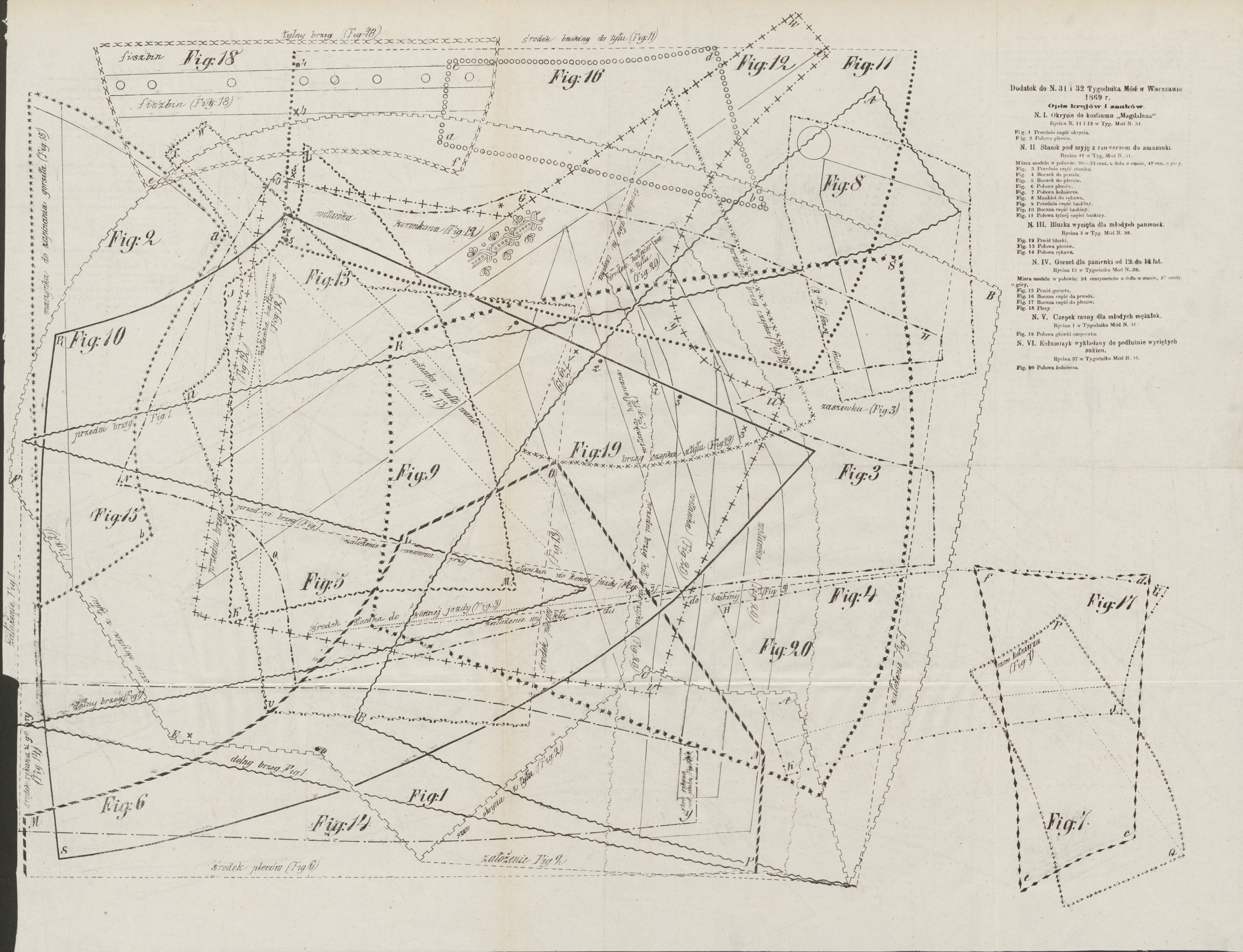

Dodatek do N. 31 i 32 Tygodnika Mód w Warszawie 1869 r.

Opis krojów i szwów.

N. I. Okrycie do kostiumu „Magdalena"

Rycina N. 11 i 12 w Tyg. Mód N. 31.

Fig. 1 Przednia część okrycia.
Fig. 2 Połowa pleców.

N. II Stanik pod szyję z ranwersem do amazonki.

Rycina 41 w Tyg. Mód N. 31.

Miara modelu w połowie: 30—35 cent. u dołu w stanie, 48 cen. u góry.
Fig. 3 Przednia część stanika.
Fig. 4 Boczek do przodu.
Fig. 5 Boczek do pleców.
Fig. 6 Połowa pleców.
Fig. 7 Połowa kołnierza.
Fig. 8 Mankiet do rękawa.
Fig. 9 Przednia część baskiny.
Fig. 10 Boczna część baskiny.
Fig. 11 Połowa tylnej części baskiny.

N. III. Bluzka wycięta dla młodych panienek.

Rycina 3 w Tyg. Mód N. 32.

Fig. 12 Przód bluzki.
Fig. 13 Połowa pleców.
Fig. 14 Połowa rękawa.

N. IV. Gorset dla panienki od 12. do 14 lat.

Rycina 15 w Tygodniku Mód N. 32.

Miara modelu w połowie: 24 centymetrów u dołu w stanie, 27 centy. u góry.
Fig. 15 Przód gorseta.
Fig. 16 Boczna część do przodu.
Fig. 17 Boczna część do pleców.
Fig. 18 Plecy.

N. V. Czepek ranny dla młodych mężatek.

Rycina 1 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 19 Połowa główki czepeczka.

N. VI. Kołnierzyk wykładany do podłużnie wyciętych sukien.

Rycina 37 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 20 Połowa kołnierza.

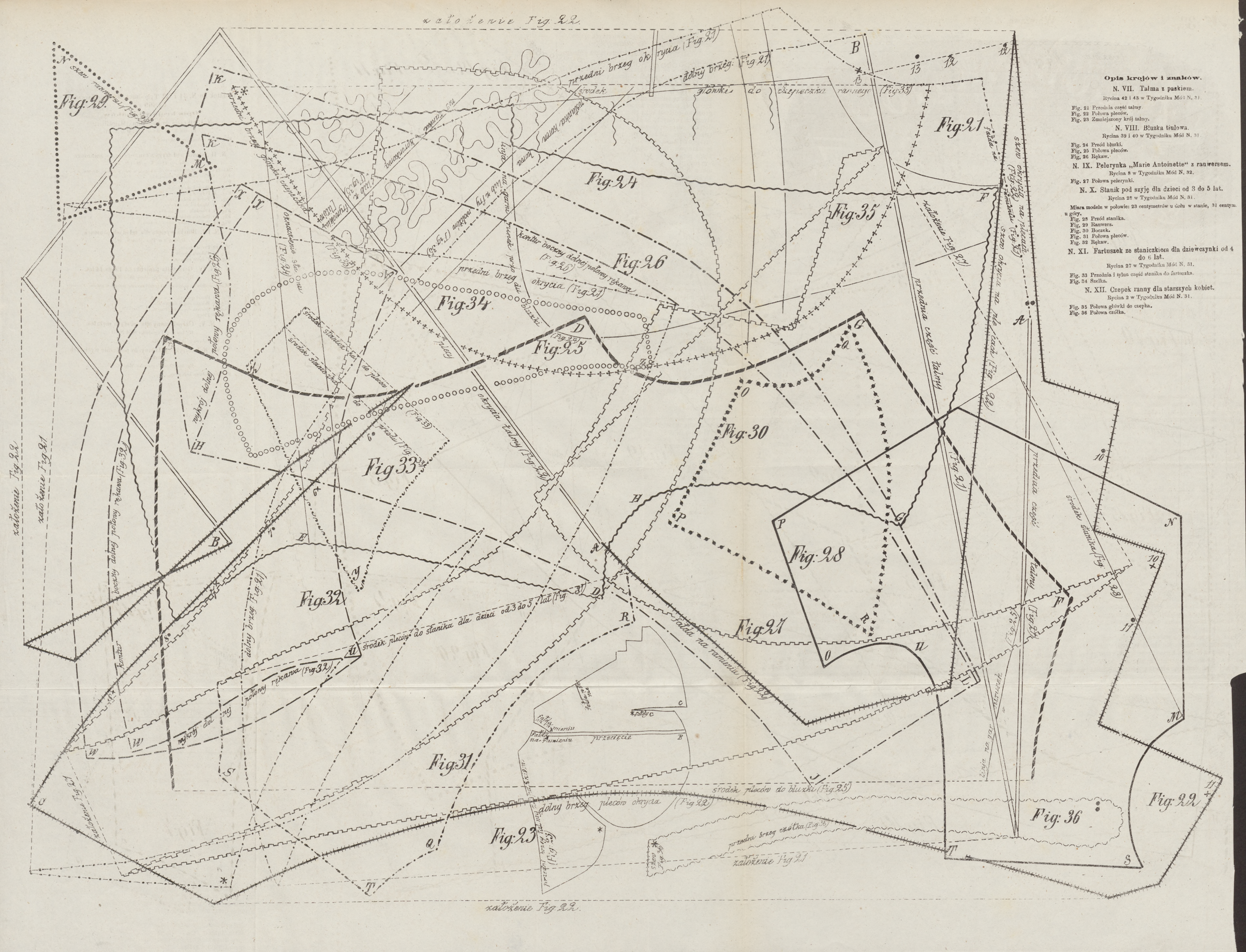

Opis krojów i znaków.

N. VII. Talma z paskiem.

Rycina 42 i 43 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 21 Przednia część talmy
Fig. 22 Połowa pleców.
Fig. 23 Zmniejszony krój talmy.

N. VIII. Bluzka tiulowa.

Rycina 39 i 40 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 24 Przód bluzki.
Fig. 25 Połowa pleców.
Fig. 26 Rękaw.

N. IX. Pelerynka „Marie Antoinette" z ranwersem.

Rycina 8 w Tygodniku Mód N. 32.

Fig. 27 Połowa pelerynki.

N. X. Stanik pod szyję dla dzieci od 3 do 5 lat.

Rycina 28 w Tygodniku Mód N. 31.

Miara modelu w połowie: 23 centymetrów u dołu w stanie, 31 centym. u góry.

Fig. 28 Przód stanika.
Fig. 29 Ranwers.
Fig. 30 Boczek.
Fig. 31 Połowa pleców.
Fig. 32 Rękaw.

N. XI. Fartuszek ze staniczkiem dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Rycina 27 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 33 Przednia i tylna część stanika do fartuszka.
Fig. 34 Szelka.

N. XII. Czepek ranny dla starszych kobiet.

Rycina 2 w Tygodniku Mód N. 31.

Fig. 35 Połowa główki do czepka.
Fig. 36 Połowa czółka.